

PRZE KRÓJ



Po 27 latach pracy we francuskich kopalniach cały majątek Józefa Rogozińskiego mieści się na jednym wózku. Oboje z żoną liczą po 74 lata i ostatek życia pragną spędzić w Kraju. (Patrz reportaż na str. 8—9—10). Fot. Władysław Sławny

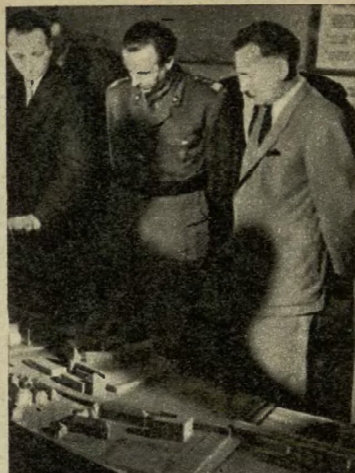
EDMUND OSMĄNCZYK: Na granicy Hiszpanii
ZOFIA NAŁKOWSKA: Charaktery
BETTY MAC DONALD: Jajko i Ja
WIECH: Król kartki pogubił

**CZY
TEL
NIK**

Nr 125
31 VIII — 6 IX 1947
CENA 25 ZŁ
PRINTED IN POLAND

PRZE KRÓJ

tygodnia



Prezydent Bolesław Bierut i gen. Spychalski ogląda projektowane modele mającego powstać miastu „Śląsko-Dąbrowskiego” w Warszawie. Zamku Królewskiego oraz Wieży Bohaterów Starówki. (Fot. Film Polski)

ROCZNICA REFORMY ROLNEJ



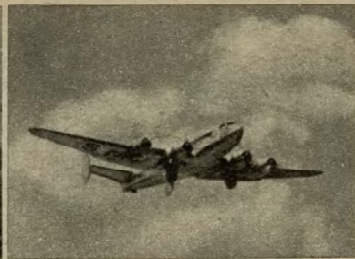
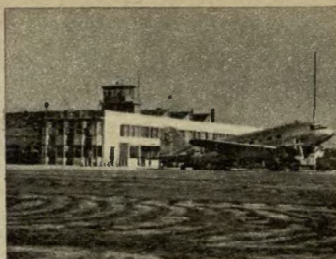
6 września mija 17 laty odkąd dzięki reformie rolnej chłop polski stał się pełnoprawnym gospodarzem swej ziemi i swej gospodarki. (Fot. Baranowski)



Koncerty zespołu radzieckich laureatów Festiwalu Muzycznego w Pradze cieszyły się u nas ogromnym powodzeniem. Specjalne uznanie zdobyła śpiewaczka Leokadia Maslennikowa. Widzimy ją na zdjęciu w życiu „prywatnym”



Polskę odwiedziła druga z kolei wycieczka amerykańskich intelektualistów złożona z profesorów i docentów. Wycieczki te zorganizował „Orbis”. Pod przewodnictwem prof. Devisa goście zwiedzili Kraków. (Fot. Zieliński)



Po zakupieniu przez „Lot” pięciu nowych czteromotorowych samolotów francuskich „Languedoc” uruchomiona została regularna komunikacja powietrzna między Warszawą a Paryżem. Na zdjęciach: Nowozakupione modele „Languedoc” na „Okęciu” przed startem do Paryża oraz w locie. (Fot. W. Nowierski)

BRYGADA JUGOSŁOWIAŃSKA



Młodzież Jugosłowiańska pracująca przy odbudowie Warszawy — w wolnych chwilach bawi się razem z polskimi kolegami przy ognisku



Egrotyczna grupa młodych Kornejek wracając do swej dalekiej ojczyzny z Festiwalu Młodzieżowego w Pradze przejeżdżała przez Warszawę (Fot. „Czytelnik”)

PROCES NIELEGALNEGO PODZIEMIA TRWA



Szef propagandy WIN Langner w czasie okupacji spoządził dla gubernatora dystryktu krakowskiego Otto Wächtera Ex-libris: Wieżę krakowskiego ratusza na tle sztandaru ze swastyką (Fot. J. Zieliński)



Główni oskarżeni (od lewej): Komendant WIN Niepokólczycki i przywódca PSL Mierzwia na ławie oskarżonych

W krzyżowym ogniu pytań prokuratora, ujawnia się w przebiegu procesu krakowskiego sieć szpiegowskiego aparatu oskarżonych. Na światło dzienne wychodzą wielorakie nici i węzły, które łączyły WIN z PSL i WRN. Obok tych momentów ukazuje proces moralny rozkład i bezideowość ludzi, którzy kierowali robotą nielegalnego podziemia i wywiadu. „Panie Jagodziński — proszę do jednego z oskarżonych Zejmian (Niepokólczycki) — generał Kopański został powiadomiony o podjęciu przez was 45 tys. dolarów. Właściwy czynnik polecił mi podjąć te pieniądze od was. Wydanego w tej sprawie rozkazu nie wykonaliście, mimo wielokrotnie wyznaczonych przez was terminów wykonania. Gen. Kopański zostanie powiadomiony o tym, że zatrzymaliście 45 tys. dolarów. O całej sprawie zostanie powiadomiony teren. W wypadku dywersji z waszej strony w stosunku do organizacji, lub mojej osoby (jak to już miało miejsce) zastosujemy w stosunku do was środki obronne”. Jagodziński był to pseudonim Tumanowicza, szefa wywiadu wojskowego WIN, majora, który pełnił swoje funkcje także i w czasie i po otrzymaniu powyższego listu! Tak wyglądały kulisy „ideowej” działalności podziemia.

N

a ścianach gabinetu wisiały pyszne płótna. W szklanych gablotach stała stara porcelana. W pewnej chwili odezwał się właściciel tej kolekcji:

— Przed paru miesiącami wyszło rozporządzenie o konieczności rejestrowania płócien starszych, niż rok 1830. Do dziś dnia jeszcze swoich rzeczy — tu zrobił ruch ręką — nie zarejestrowałem. I mczliwie najdłużej nie rejestruję! Wiem wprawdzie dobrze, że w tej chwili rząd nie ma intencji zabrania mi ich; wiem też, że dbałość o stan narodowego majątku kulturalnego wymaga, by skarby były rejestrowane. Na przykład w razie wojennej katastrofy mogę zginać ja i moi wszyscy, zbiory mogą być wywiezione za granicę — a przecież później musi się naród o nie spowrotem upomnieć! Ale, wie pan, ja to wszystko rozumiem, ale... nie mam zaufania do rządu, po prostu boję się tej rejestracji...

I tutaj rozmówca mój, człowiek pozytywnie nastawiony do istniejącego systemu społecznego, mimo woli poruszył jeden aspekt skomplikowanej sprawy narodowej.

Trzecia Rzeczpospolita miała start nie łatwy. Rodziła się w bólach rozdarcia społeczeństwa między conajmniej dwie — a w istocie znacznie więcej — tak zwane „orientacje”. Trudności polityczne tamtych czasów były ogromne, a ich dobitnym i tragicznym wydzwiękiem jest choćby ostatni proces krakowski Niepokólczyckiego i tow. Nie wszyscy przeciwnicy reżimu zeszli oczywiście na szlaki karalnego podziemia. Niemniej między poszczególnymi grupami społeczeństwa a rządem były duże różnice.

Postępowanie niższych organów wykonawczych — nie zawsze sprzyjało rozkładaniu tych różnic — bądymy szczerzy! — na ogół wbrew intencjom najwyższych czynników politycznych i rządowych. W rezultacie powstał przykry stan, iż między rządem a częścią społeczeństwa długi czas nie było należytego wzajemnego zaufania. Można o tym już pisać w stanie przeszytym, ale z wyraźną uwagą, że i dziś jeszcze sytuacja nie jest zadowalająca. Cóż chcecie, toć minęło dopiero dwa i pół lat! Mój rozmówca był właśnie typowym wytworem tej właśnie atmosfery.

Jak się rzekło — Trzecia Rzeczpospolita miała start nie łatwy. Prócz niemałych trudności politycznych — obciążona została od razu piekielnym spadkiem pookupacyjnym w postaci zdemoralizowania gospodarczego społeczeństwa polskiego od najwyższych do najniższych jego warstw. Ludziom, którzy zasmakowali w łatwym zarobkowaniu, sankcjonowanym przez opinię publiczną — nie łatwo przychodziło zmienić system tożsacenia się. Tym bardziej, iż trudne warunki gospodarcze panujące na całym świecie sprawiają, iż łatwiej jest dziś (jak to zresztą bywa i w czasach normalnych), zdobywać pieniądze drogą spekulacji czy łapownictwa niż normalnej pracy. Nie wolno zamilczeć, że walkę tę z demoralizacją społeczeństwa utrudnia fakt, iż płace pracownicze jeszcze ciągle nie stoją w odpowiednim stosunku do potrzeb człowieka i do cen artykułów przemysłowych dobrego gatunku.

Trzecim wreszcie aspektem problemu jest akcja wrogich reżi-

mowi sił politycznych, które w dalszym ciągu podtrzymywały opinię o idcowym znaczeniu sabotażu gospodarczego. „Usprawiedliwienie” tego rodzaju chętnie witali ci wszyscy, którzy nie mogli, czy nie chcieli wydobyć się z zartutego kręgu okupacyjnej demoralizacji. W rezultacie zwykły aferyzta traktował swą „pracę” nie tylko jako zabezpieczenie finansowe, ale jako działalność polityczną.

Trzy te nurty: brak zaufania, demoralizacja okupacyjna i wrogi sabotaż, zbiegający się razem sprawili, iż doszliśmy do stanu niebezpieczeństwa narodowego, przejawem czego są nieustanne procesy o korupcję i kradzieże dobra publicznego, sprawa cyny, sprawa papieru, i tyle, niestety, tyle innych. Ten przeraźliwy ścisk za kratkami, panujący obecnie w aresztach i więzieniach jest przerażający i w tej skali dla narodu naszego zupełnie nowy.

Do rządu i jego czynników administracyjnych należy niewątpliwie takie postępowanie z obywatelami, by płaszczyzna wzajemnego tarcia była możliwie najmniejsza, by język był wspólny wszystkim, by — jednym słowem — właściciel kolekcji obrazów nie był zaniepokojony o los swego zbioru. Nie to jest jednak w tej sprawie najważniejsze, te nieufności wyleć czas, i to szybko.

Nie chodzi mi również o stronę polityczną zagadnienia. Antyrządowe i antypaństwowe motywy znajdują lepszych prokuratorów niż niżej podpisany. Postępowanie organów skarbowych i sądowych doprowadzi do tego, że złodzieje będą należycie karani, że ustaną na koniec milionowe kradzieże, które rządu nie wywrócą, ale które walenie przyczyniają się do tego, iż Polska odbudowywać się będzie parę lat dłużej i że jeszcze jedno pokolenie żyć będzie w pałacach dysproporcjach gospodarczych.

Sprawa jednak staje się wyjątkowo pilna i zasadnicza, gdy idzie o zdrowie moralne narodu. Zmieniają się warunki i systemy gospodarcze, ale jad złodziejstwa, przekupstwa, hochsztaplerki — raz wszczępiony w duszę narodu, i nie uleczony, przechodzić będzie z pokolenia na pokolenie, drażyć się będzie coraz bardziej, coraz bardziej rozkładając naszą narodową substancję. Na koniec zginiemy.

Kontynuowanie dalej tego systemu „gospodarczego” jako zaszczepiony nam został okupacją niemiecką, nie jest tyle postępowaniem antyrządowym, antyrepublicanym — co przede wszystkim skierowanym przeciw naszemu zleceniom i wnukom. Mogą istnieć, rozwijać się narody wyrachowane i pozbawione skrupułów w interesach — ale zginie naród, który „kant” i o bejście przepisu uczynił systemem swego życia społecznego.

Prokurator sądów państwowych zajmie się przestępstwem przeciw państwu. Zapadają ostre wyroki; skutek ich tak długo będzie ograniczony, jak długo same społeczeństwo nie przezwycięży w sobie postawy pasywno-wyrozumiałej wobec elementarnej klęski draństwa. Sprawa bowiem jest antynarodowa, antyludzka. Musi tu wystąpić nauczyciel, ksiądz, działacz społeczny, publicysta. Muszą wystąpić rodzice. Nie wolno milczeć. A można wyznajdywać obiektywnie przyczyny tego stanu rzeczy, ale nie wolno nam się nań zgadzać. Nie dlatego innego — tylko przez wzgląd na nasze dzieci i wnuki.

KAZIMIERZ KOZIEWSKI

EDMUND OSMANCZYK NA GRANICY HISZPANII

(KORESPONDENCJA WŁASNA)

GORACO!!!

Wjeżdżając kolejką zębatą na najwyższy szczyt baskijskich Pirenejów — La Rhune — rozchlapujemy nogami strumienie potu, spływające po podłodze pochylonego wagonu. Francja bije rekord tego lata najwyższych upałów, jakie zanotowano w tym kraju od roku 1871. Ręciowy słupek termometru dobiegł już 60. (sześćdziesięciu!) stopni Celsjusza w słońcu i nadal, choć już minimalnie, posuwa się w górę. W otwartych wagonikach kolejki nie ma bodaj centymetra kwadratowego cienia, więc z zabawnym pluskiem opadają na podłogę kropelki potu, ściekające z nosów, bród, czoł, nóg i rąk kilkudziesięciu pasażerów, przylepionych do drewnianych ławek. Koszule i bluzki przylgnęły lekko do rozgrzanych ciał i w miarę, jak wznosimy się w górę — podróż trwa trzy kwadransy — na zwłgotniałych jedwabiach, popelinach, płótnach ukazują się, przesiąkłe przez materię, opalizujące w słońcu, kropeczki potu, tworzące po dalszych kilkunastu minutach żółtawiej jaszdy cieniutkie, perliste strumyczki, które z zabawnym wahaniem spływają wzdłuż nóg na podłogę.

Otyły, siedzący przed nami Holender, napróżno próbował ocierać się chusteczką, którą następnie z coraz słabszą energią starał się wyżywać na swe pociemniałe od wilgoci tenisowe pantofle. Zrezygnowany rozwinął chusteczkę na otoczonej wiankiem siwiejących włosów tylnie, poczem w zakłopotaniu, a być może w nerwowej złości, zwał mocno pięści i ze zdumieniem spostrzegł, że oto z własnych dłoni wyciska dobrą szklankę mętnego płynu, który spadając na podłogę opryskuje sąsiadów.

Zjawisko było tak niezwykle, że mdlejący od upału wycieczkowicze cuclli się ciekawością, ileż jeszcze wody wypłynie z rozszerzonych bezwstydnie porów, siedzących naprzeciw towarzyszy niedoli. Oglądanie samego siebie wymagało energii, ruchów głowy i szyi, nie mówiąc już o tym, że działalo przynębiająco. Natomiast bliźni, siedzący vis à vis rozweselali swym widokiem obolałe serce, nic bowiem dla bezradnego nie jest tak kojące i miłe, jak widok cudzej, śmiesznej beznadziei.

Kilkanaście metrów od szczytu, tuż przy wypalonym bunkrze niemieckim i zwałisku żelastwa, będącego przed kilku la-

ty najnowocześniejszym sześciolufowym działem przeciwlotniczym, wypłynęliśmy ociężale z kolejkowej łaźni. W wypalonym bunkrze baskijski szmuglerzy sprzedawali hiszpańskie pomarańcze, brzoskwinie, czekoladę i papierosy, no i oczywiście nadzieję spragnionych — chłodzące napoje, niestety mdlisto-ciepłe, bowiem z dolin wieziony lód roztopił się całkowicie w rozpalonej słońcem kolejce. Po kilkunastu kamiennych stopniach wdrapujemy się więc nadal spragnieni wody i cienia, na odkryty płaski szczyt i — mimo, że słońce pali tu już podzwrotnikowym żarem — przystajemy na długie chwile w o-niemieniu.

GLOBUS NATURALNEJ
WIELKOŚCI

Wibrujące od gorąca powietrze układa się nad krajobrazem w roztańczone świetliste smugi i ludzaco to zbliża, to oddala trojaki wokół nas horyzont — oceanu, baskijskich gór i bajon-skiej doliny. Rozległość widoku, rozciągającego się wokół nas, ma kształt elipsy o średnicy ponad dwustu kilometrów! 100 kilometrów Hiszpanii! 100 km Francji! Za nami ciągną się w dal górzyste Pirenejów. Przed nami stoki gór, zbiegających w seledynowy u brzegów, a granatowy coraz dalej ocean! Wybrzuszony, bodaj trzystukilometrowej długości łuk atlantyckiego horyzontu, potwierdzający swoim wygięciem oceanicznych mas wód kulistość naszej ziemi, przypomina mi marzenie lat dziecińczych — globus naturalnej wielkości! Mieć taki globus w domu! A przynajmniej w szkole, aby zawsze móc sprawdzić prawdziwość najfantastyczniejszej dla mnie w latach szkolnych nauki geografii. — Trudno uwierzyć w ogrom i bogactwo świata i pokochać jego niezmiernie piękno w zamkniętej szkolnej klasie, przyglądając się małemu dyństemu globusowi, osadzonemu na skrzywionej osi i poprzeronemu trudnymi do wymówienia nazwami, których się trzeba uczyć na pamięć, jak martwych łacińskich słów. Skurczony do szkolnych globusów świat maleje w wyobraźni, a miejsce jego zajmuje wyolbrzymiona dalszym wychowaniem ptolomeuszowa płaska karta „własnego świata” — prowincji, kraju, czy w najlepszym razie ładu. — Historyczne skutki tej ślepoty wychowawczej znamy aż nadto dobrze. I nie

masz innego wyjścia, jak tylko zrewolucjonizować młodzież, aby żądała dla siebie w domu, w szkole i w urzędzie globusów naturalnej wielkości!

Płynący z nieba żar podniecił moją wyobraźnię. Nic dziwnego. La Rhune jest idealnym miejscem do nauki geografii. Odległa o kilkanaście kilometrów od brzegów Atlantyku wznosi się 900 metrów nad poziom morza i stanowi w baskijskiej części Pirenejów najwyższy punkt graniczny między Hiszpanią a Francją.

Jeśli spojrzeniem pobiec na wschód wzdłuż płaszczyznego brzegu Oceanu, to oto jak na dłoni ciągnie się baskijskie wybrzeże od Hendaye poprzez Saint Jean de Luz, Biarritz aż po zamgloną Bayonne. Od morza w głąb kraju wznosi się sfalowany podgórszy krajobraz, pełen zieleności drzew, złota dojrzewających zbóż i czerwieni i niebieskości baskijskich wiosek i miasteczek. Piękny, uroczysty kraj, zdumiewający kontrastami oceanu, Pirenejów i szerokiego falistego podgórzia. Lecz wystarczy odwrócić się o 180 stopni, a kontrast wzmagą się. Oto przed nami górzysta, beśna Hiszpania. Nagie, kamieniste wzgórza mają barwę ołowiu, poplamione żółtawą zielenością pastwisk, spalonych słońcem starokrzewów, karłowatej drzewiny. Równoległe grzbiety gór zasłaniają leżące w dolinach hiszpańsko-baskijskie wioski, tak, że kraj wydaje się zaklęty w kamienie, bez ruchu, bez życia. Tylko tam, gdzie morze wdziera się srebrnozielonym pasem w skalisty ład, widać kształty domostw i kościołów, ożywiony ludzkim osiedlonym krajobraz. To San Sebastian. A jeszcze dalej na zachód, na samym krańcu horyzontu znacząca się sylwetka jakiegoś dużego osiedla, to bohaterskie miasto walczących o swą niepodległość hiszpańskich Basków — Guernik!

CHOKO TTIKI

Stojąc na szczycie La Rhune, gdy współtowarzysze moi zsuwają się kilka metrów w dół po zachodnim stoku góry z okrzykiem „my już jesteśmy w Hiszpanii!”, przypominam sobie że niewidoczna, na mapach tylko wytyczona granica, dzieli w tym miejscu właściwie nie Hiszpanię od Francji, lecz baskijską Republikę Euzkadi od baskijskiej prowincji Francji. Nim o tym ciekawym rozróżnieniu szczegółowo opowiem, wspomnę jeszcze, że nie wytrzymałem pokusy, choćby symbolicznego przekroczenia granicy i zsunąłem się w ślad za towarzyszącymi kilkanaście metrów w dół, aby stanąć na ziemi objętej nieczystą władzą gen. Franco. Chcąc dojść jednak do pierwszych osiedli, trzeba byłoby, zszedłszy w dół, wejść na następne górskie wzniesienie, bacznie przez Hiszpanów strzeżone, i dopiero stamtąd zsunąć się do zamieszkałej doliny. Wyprawa długa to i niebezpieczna, bowiem po ostatnim czerwcowym referendum, w którym Baskowie hiszpańscy wypowiedzieli się olbrzymią większością głosów przeciwko generałowi Franco, falangiści gęsto obstawili granicę, aby wychwytywać politycznych emigransów, wiozących instrukcje z Paryża, gdzie mieszczą się rządy Republiki Hiszpańskiej i Republiki Baskijskiej, zwanej Euzkadi.

Przedziwny to naród ci Baskowie. Nauka dotąd nie odkryła tajemnic ich pochodzenia, jeśli odrzucić legendarną hipotezę, iż jest to resztką uratowanych cu-

dem mieszkańców Atlantidy. Od niepamiętnych wieków Baskowie zamieszkują górzysty kraj nad Oceanem, rozdzielony Pirenejami. Po stronie hiszpańskiej zajmują prowincję Biscaya, Guipuzcoa Alava i Navarra, po stronie zaś francuskiej sięgają po Bayonne. Zarówno ci we Francji, jak i ci w Hiszpanii mówią o sobie z dumą, że są narodowością baskijskiej i używają języka, którego filologowie nie potrafili wyprowadzić z żadnej rodziny znanych w świecie mów ludzkich. Noszą dziwne tajemnicze nazwiska, wymawiane tak, jak się je pisze, w rodzaju Choko Ttiki, Etscheverrygaray, Txiki, Elissamburu, Jaureguiberry. O trudności języka niechaj świadczą następujące zdanie: „Ba dakizu ez da errecha, bainan ikasten ahal da, lehenbizkorik behar dana nahikundea da”, co znaczy: „Język baskijski nie jest łatwy, ale można go się nauczyć, jeśli się ma silną wolę”. — Zdania tego, mimo wysiłku woli, nie zapamiętałem i uczyniłem dobrze, zapisując je w notecie, inaczej nie mógłbym przytoczyć powyższych słów sympatycznego rybaka Choko Ttiki.

Choko Ttiki jest Baskiem francuskim, posiada pełną wolność i nie myśli o rozszerzeniu formalnym Republiki po Bayonne. Czuje się jednak dumny ze swych braci z hiszpańskiej strony i dopomaga im z całego serca. Uciekinierzy „stamtąd” znajdują zawsze otwarte domy baskijskie po wschodniej stronie Pirenejów. Na Atlantyku, rybacy z obu baskijskich stron spotykają się przy wspólnych połowach. Przed referendum — opowiada Choko Ttiki — woziliśmy im na Ocean paczki gazet i ulotek. Teraz przyjeżdżają z nimi strażnicy hiszpańscy, którzy pilnie baczą, czy nie wymieniamy podejrzanego pakietu. Górkimi więc drogami, nocą, idą przez Pireneje karawany Basków, przenoszących polityczną bibułę.

Choko Ttiki tłumaczy mi z „Euzko Dave” treść ostatniego oświadczenia prezydenta Aguirre, który w Paryżu powiedział prasie, co następuje:

„Kiedy Wielka Brytania zdecydowała się odwołać ambasadora swego z Hiszpanii, miałem dłuższą rozmowę z dr. Jose Giral, ówczesnym szefem hiszpańskich republikanów oraz z pewnym wybitnym dyplomata angielskim. Ten ostatni prosił nas o jasne wypowiedzenie się, w jaki sposób pragniemy, aby usunięty był rząd gen. Franco! Dr Giral odpowiedział, że nie chcemy ani wojny cywilnej ani rozlewu krwi. Pragniemy usunięcia gen. Franco poprzez sankcje ekonomiczne i położenie rządu koalicyjnego, złożonego ze wszystkich ugrupowań emigracyjnych. Żądamy zatem wolności słowa, wolności prasy oraz wprowadzenia praworządności. Następnie żądamy wolnych wyborów, które nie byłyby kontrolowane przez mocarstwa, lecz przez grupę małych, niezainteresowanych narodów, lub też przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Takie były poglądy dr. Girała, do których ja dopowiedziałem jedno słowo: Amen!”

„Ponieważ my Baskowie dążymy do zlikwidowania prześladowań i nietolerancji, dlatego dziś łączymy się politycznie z republikanami hiszpańskimi. W przyszłości jednak, gdy cel główny zostanie osiągnięty, uczynimy słusznie, jeśli we wszystkich sprawach, które dotyczyć będą naszego życia administracyjnego, reform, obyczajów, filozofii życiowej, będziemy prowadzić dalej

walkę już sami w Republice Euzkadi”.

Choko Ttiki pochwała mądrość prezydenta Aguirre.

— Widzisz — mówi do mnie — Baskowie muszą pozostać sobą. Zjemy w świecie, który stale się dzieli, to narodowościami, to religiami, to ideami. My nie chcemy się dzielić, skoro od niepamiętnych czasów wszyscy jesteśmy sobie równi i każdego człowieka uważamy za brata, jeśli nam nie grozi i nie chce nad nami panować. Jesteśmy gotowi wspólnie walczyć z każdym przeciwnikiem każdej przemocy, ale potem chcemy żyć po swojemu, bo inaczej przestaniemy być ludźmi wolnymi. Nas wychowały góry i ocean. W górach i na morzu nie ma biednych i bogatych, niewolników i panów, lecz są tylko ludzie, którzy muszą sobie pomagać, bo inaczej zginą. Ludzie dolin zawsze się dzielą. Nie grozi im natura przyrody, więc ulegają niebezpiecznej naturze ludzkiej, i pysznją się nad innymi, i stąd bogaci nie widzą biednych, mądrzejsi nieuczonych, zrzęczniejsi upośledzonych...

Choko Ttiki ma piękną willę nad morzem, której połowę wynajął na lato jakimś zamożnym Amerykanom, drugą połowę oddał uciekinierom z Guerniki, sam zaś mieszka w drewnianym domku, gdzie w ziemie składa sieci i rybaczkie przybory. Chodzi w niebieskich sandałach z płótna, z podeszwą z plecionego sznurka (po baskijski zwą się „oinetakoak”), niebieskich drelichowych spodniach, pasiastej, otwartej kószuli, czarnej cienkiej marynarki, no i oczywiście w nieodłącznym dla Baska berecie. („Kapelusz — mówi Choko Ttiki — miałem tylko raz w życiu, kiedy szedłem do ślubu, a i to nie założyłem go na głowę, tylko cały czas trzymałem w lewej ręce”).

„W POLSCE NIE MA JUŻ POLAKÓW”

Tegoż dnia, w Saint Jean de Luz, przechodząc nad mołem, ujrzałem rybaka lat siedemdziesięciu kilku, którego nie tylko zwyczajny baskijski strój, ale i wspinała wiatrem opalona głowa, po baskijski o orlim góralskim profilu, przypominała mi postać Choko Ttiki.

— Popatrzcie — zawołałem po polsku do moich towarzyszy — jaki podobny.

Nie dokończyłem zdania, gdy łowiący ryby Bask wypowiedział, podmalowaną francuskim akcentem polszczyzną, te słowa:

— A to państwo Polacy?

— A Pan? — spytałem zdumiony.

— Moi, je suis français, mais aussi polonais. J'ai deux patries: La France et la Pologne.

— A więc Pan nie jest Baskiem, coż więc Pan tu robi w tym stroju?

— Dożywam moich dni...

— Czemuż nie w Polsce?

— W Polsce?! — Obruszył się starzec. — Tam przecież Polaków już nie ma!

Zaskoczeni słuchaliśmy. Już w języku francuskim wygłaszały tyrały przedziwnego „Baska”, który opowiadał o swym ojcu generale, powstańcu z 1863 roku, o swym urodzeniu się we Francji, o szkole polskiej „Aux Battignolles”, do której uczęszczał za czasów Gambetty, o Polsce, w której nigdy nie był, a znał tylko z opowiadań ojca, o carskiej Rosji, która zagarnęła rządowe majątki i wszystkich prawdziwych Po-

laków („Les vrais Polonais”) pognęła na Sybir. Nieliczni tylko uratowali się i żyli później bądź na emigracji, bądź po pierwszej wojnie jeszcze w Kraju. Ale w drugiej wojnie i ta resztką zginęła i dziś już w Polsce nie ma Polaków! Zaprotestowaliśmy, powołując się na fakt istnienia nadal Państwa Polskiego. Starzec uśmiechnął się dobrodusznie, poczem zmiażdżył nas niespodziewanym argumentem:

— No a jakżeż nazywa się prezydent obecnej Polski? Jak chłop. Prawda? Voilà! Toż więc nie Fola. Widać to przecież po chłopskim nazwisku!

— Więc jakto, chłop nie jest Polakiem według pana? — zapytaliśmy zdumieni.

Starzec roześmiał się tylko:

— Za czasów mojego ojca chłop był gorzej traktowany od bydła szczonego przez psy. To nie byli Polacy! Nie mogą więc być Polakami. Prawdziwi Polacy pochodzili ze szlachty, a ta już w Polsce wyginęła.

Nie dyskutowaliśmy dalej. Przerzuciliśmy rozmowę na tematy bardziej spokojne, niedrażniące pełnego ferworu starca. Zaprzyjaźniliśmy się nawet z nim w następnych dniach. Jego poglądy społeczne na świat jak skamienia zachowały obraz połowy dziewiętnastego wieku, traktowałyśmy go więc jak dziwny zabytek, żyjący poza czasem i historią.

To co mnie tylko niepokoiło, to było zewnętrzne podobieństwo starca do Choko Ttiki. Ten sam wiek, ta sama fizyczna postawa, ta sama godność w twarzy, a nawet z rzeczy wewnętrznych to samo u obu gorące umiłowanie wolności, a przecież coś za różnicą w treści wewnętrznej tych ludzi. Nasz znajomy z mola Saint Jean de Luz, tego samego moia, z którego w r. 1940 odpływali do Anglii Jacobowsky i pułkownik Umierski, nie był winien swej treści wewnętrznej. Nie wyszedł z narodu, któryby od wieków posiadał mądre baskijskie pojęcie wolności obejmujące cały naród. Historia, emigrancem przymusowym ojca, wyrzuciła naszego rozmówcę poza burzę własnego kraju i zmusiła do ciężkiej walki o byt wśród obcych, wśród których wyróżnić się można było, w obawie przed deklasacją, jedynie romantyzmem przeszłości. I ta przeszłość, dlatego, że własna, stała się bezkrytycznie świętą. Wszystko, co niszczyło tę przeszłość — czas, przemiany społeczne i polityczne — stawało się wrogiem, obce, niepolskie. I oto głupio ukanonizowana wolność jednej warstwy stała się w wyobraźni starca kamieniem węgielnym Polski. W miarę, jak kruszał jego kamień, ginął dlań naród Polaków. A jeden z ostatnich, potomek generała K. z powstania 1863 roku dożywa dni wśród małego, wspaniałego narodu Basków, których uznaje i szanuje, łatwiej bowiem uznać za równych ludzi obcych, niż bliskich.

Niezwykła rozmowa z Jeanem de K., której autentyczność poświadczają może osób kilka, jeszcze bardziej umocniła mój szacunek do rozumiejących wolność Basków, którzy potrafili nawet życiu religijnemu nadać jego czystą treść społeczną, a życiu społecznemu głęboki sens religijny..

WKRÓTCE
DOKOŃCZENIE REPORTAŻU
EDMUNDA OSMANŹCYKA
Z NAD GRANICY HISZPAŃSKIEJ
p.t. NARÓD NA „TY”

Indonezja krwawo walczy o swą niepodległość. W Burmie patrioci zamordowali ośmiu ministrów rządu współpracujących z Wielką Brytanią. Indie w dn. 15 sierpnia 1947 r. uzyskały statut dominialny i podzieliły się na dwa państwa: Hindustan i Pakistan. W ten sposób w dziejach kolorowych narodów świata otwiera się nowa karta. Warto więc o ludach tych wiedzieć coś więcej ponad to co uczą w szkole...

TONGA WSPY (Przyjacielskie), archipelag w Polinezi, między 13 i 23° szer. pdł. oraz 173 i 177° dług. zach., obejmując 32 większe i ok. 150 mniejszych wysp (razem 997 km² z 27045 mieszkańców). Wyspy mają tropikalny i zdrowy klimat oceaniczny i bujną szatę roślinną. Stolicą jest Nukualofa. Ludność polinezyjska, wyznaje chrześcijaństwo, a trudni się rolnictwem. Wyspy odkryte w 1643 przez Tasmana, zostały zabrane Holandii w 1773 i 1777 przez Cooka, od 1889 znajdują się pod protektorem Anglii

(Wielka Ilustrowana Encyklopedia Powszechna „Gutenberg”. Tom XVII. Str. 171)

W powodzi trosk codziennych przeoczyliśmy wybitne zdarzenie w polityce międzynarodowej: jubileusz sławnego, a mało w naszym zaściankowym kraju popularnego królestwa Tonga.

4-tego grudnia roku ubiegłego stolica państwa Tonga, Nukualofa, rozbrzmiewała salwami strzałów armatnich, śpiewami i okrzykami radosnymi całej...tysięcznej ludności archipelagu. Tego dnia bowiem, równo przed stu laty, po półwiekowych wojnach cywilnych i po śmierci ostatniego wodza wyspy Tongatapu, cioteczny wnuk jego przywdział na swe skronie koronę Królestwa Zjednoczonych Wyp Tonga i rozpoczął panowanie pod imieniem Jerzego Tupou I-go. Monarcha ten zmarł dopiero w roku 1893, w wieku lat 96, potwierdzając raz jeszcze zasadę długowieczności, jaką szczyliły się wszystkie dynastie Pacyfiku, na przykład dynastia Pomare na Tahiti i Kamehamehów na Hawajach.

Obecna królowa Jej Majestat Pani Salote Tupou, urodziła się w roku 1900-tym, roku, który widział równocześnie narodzenie się Traktatu Przyjaźni, łączącego Tonga z Wielką Brytanią. Traktat ten zresztą był już

tylko formalnym usankcjonowaniem węzłów, łączących od dawna oba królestwa. Węzły te zostały nawiązane już w XVIII-ym wieku, w czasie podróży Cooka. Odkrywca ten nazwał wyspami Przyjacielskimi, ze względu na serdeczne przyjęcie, jakiego doznał u tubylców. Znany nam nawigator okazał się jednak nieco gorszym psychologiem, niż żeglarzem, gdyż, jak się później okazało, w czasie festiwalu wy-

Tonganie, obok Maorysów i Samończyków, uważani za najniebezpieczniejszych wyspiarzy Pacyfiku, łatwo przyswoili sobie zdobyte cywilizacji i czerpią z nich pełną dłoń. Auta, telefony, radio, motocykle są w masowym użyciu. Swoim bujnym przyrostem naturalnym zaprzeczają teoriom o wymieraniu ras kolorowych, po zetknięciu się z Europejczykami. Chrześcijaństwo, po paru nieudanych próbach, zostało



Gdy we wrześniu roku 1939-ego Niemcy napadli na Polskę, królowa, nie zmuszona przez nikogo, wypowiedziała im wojnę i rzuciła na szalę całe zasoby swego królestwa. W roku 1940-ym, królowa, jej ministrowie i cała tongańska służba cywilna, zdecydowali się oddać 10% swoich dochodów na rzecz Tongańskiego Funduszu Wojennego. Ten ostatni przy poparciu całej ludności Tonga, zakupił między innymi 3 Spitfire'y dla wojsk alian-

Dla sformowanych oddziałów Tongańskich Sił Obronnych, miejscowe kobiety uszyły mundury własnym kosztem. Przez rok cały żołnierz nie podejmował żołądka, a koszar dla nich wzniesione zostały sumptem całego narodu. Oddział Tongańskich Wojsk Obronnych walczył u boku alianców na wyspach Salomona. Wielu Tongańczyków otrzymało przy tym odznaczenia za waleczność.

Nic więc dziwnego, że w czasie uroczystości jubileuszowych w Nukualofa, Wysoki Komisarz dla Zachodniego Pacyfiku, w imieniu króla Jerzego VI-go wręczył królowej odznakę Wielkiego Krzyża Orderu Brytyjskiego Imperium. Przy tej okazji tysiące Tongańczyków zebrali się na „malae”, to jest forum publicznej stolicy. Naprzeciw trybuny oficjalnej ustawił się chór, złożony z 500 osób. 21 strzałów armatnich z H. M. S. Euryalus powitało przybycie królowej, po czym orkiestra wojskowa odegrała Hymn Tongański. Po wręczeniu orderu, królowa przemówiła do narodu, po czym na zakończenie chór odśpiewał oratorium „Alleluja” z „Mesjasza”.

„Niewiele chorów na świecie mogłoby lepiej odtworzyć wspaniałe arcydzieło Händla”, pisze obecnie przy tym korespondent „Przekroju”.

O ile nam wiadomo, Polska nie ma jeszcze stosunków dyplomatycznych z dworem Jej Królewskiej Mości, Pani Salote. Czas najwyższy gaffę naprawić, ym więcej, że chodzi o sojusznika w ostatniej wojnie, oraz o państwo, z którym na przestrzeni tysiącletniej naszej historii, nie mieliśmy zatargów, ani sporów granicznych.

WACŁAW ŚLABCZYŃSKI



OSTATNIA MONARCHIA PACYFIKU

danego na jego cześć, miał on być zamordowany, a dwa jego okręty przeznaczono na skromny początek floty tongańskiej. Jedynie nieporozumienia, wynikiem między stowarzyszonymi, ocaliły mu życie i pozwoliły

wprowadzone ostatecznie w roku 1845. Współcześni Tonganie odznaczają się szlachetnością, gościnnością i tradycyjną pokojowością. Tasman, który ich odwiedził przed Cookiem, stwierdził, że nie znalazł u

nocześnie jeden z krajów o najwyższym w świecie procencie dzieci nieślubnych. Pod tym względem kapłani napotykały na duże trudności w swojej pracy.

Dynastia tongańska jest jedną z najstarszych na



W tych dniach odbył się ślub następcy Ironu Tonga. Królowa Salote ślapiąc po rytualnym dywanie prowadzi młodą parę na ceremonię zaślubin. [Fot. SAP]

odpłynąć na Hawaje, gdzie spotkał się z większą już solidarnością tubylców.

Tongańczycy żyją do dziś kult dla Cooka, pokazując miejsca w których bywał, szczytą się pamiątkami, zostawionymi przez niego, a żółw, ofiarowany im w roku 1777 i żyjący do dziś — otoczony jest czią, niemal religijną.

nich śladu żadnej broni. Jest to jeden z niewielu krajów, gdzie w największych kłopotach są władze więzienne, gdyż lokale ich stoja pustkami i nie mogą za żadną cenę znaleźć pensjonariuszów. Tonganie byli zawsze niestęchanie uprzejmi dla kobiet. Przyjaźń Tongańskość Tongańską posunięta jest tak daleko, że jest to jed-

święcie. Tradycja ustna przekazuje imiona królów na przestrzeni tysiąca lat. Obecna królowa szczyty się, że jej przodkowie panowali nad wyspami wcześniej jeszcze, nim na tronie polskim zasiadł Mieszko I.

Jeśli chodzi o stosunki polsko-tongańskie, to mamy względem królowej Salote poważne zobowiązania.



Wielki pałac Jego Królewskiej Mości pani Salote Tupou w Nukualofa



Wspaniała tropikalna dżungla na wyspach Tonga

W DRODZE NA FERME

Po przejechaniu dwunastu mil autem, wsiedliśmy na prom, żeby przebyć pierwszy odcinek drogi do „pewnego obiektu”, który mieliśmy obejrzeć. Do naszej przyszłej kurzej fermi.

Dzień marcowy był błyszczący i krzepki, i przez całą długą drogę promem spacerowaliśmy z Bobem po pokładzie, podziwiając głęboką, niebieską wodę cieśniny Puget'a, modre niebo, gęsto zadrzewione ciemnozielone wysepki pływające sobie tu i ówdzie, i wielki łańcuch Gór Olimpijskich, rozciągających przed nami uprzejmie całą swoją śnieżną wspaniałość. Te Góry Olimpijskie nie mają żadnych miękkich krągłości, ani dzwiczęcej pulchności gór ze wschodu Stanów. Przypominają szerokobiodre, pełnopiersne boginie. Wyniosłe i nietykane, zadowolone z siebie, wiedzą, że wyglądają tak właśnie jak góry powinny wyglądać.

Z pomiędzy wszystkich natłoczonych pasażerów promu, tylko my zaczęliśmy świeżego powietrza, i oglądali rozciągający się krajobraz. Reszta podróżnych, biznesmeni, sprzedawcy, żony farmerów, robotnicy z mylnów i Indianie — albo nie ruszyła się ze swoich aut czy miejsc w autobusie, który wjechał na prom, albo skuliła się w gorących poczekalniach i czytała gazety, w fatalnym świetle. Wyglądali oni wszyscy bardzo niezachęcająco, i kiedy w pół godziny później weszliśmy z Bobem rześko do środka, tupiąc zmarniętymi nogami i trzaskając drzwiami i wypatrując gorącej kawy — powitały nas ostre i niezcyżliwe spojrzenia. Wreszcie znaleźliśmy kawę, która okazała się zielonkawą, letnią lurą. Kiedy wchodziliśmy do sali Bob palił, co nie zdawało się nikomu przeszkadzać, ale kiedy wypiliśmy nieco kawy i ja zapaliłam papierosa, jedna z fermerek ściągnęła z głowy kapelusza koloru nawozu i zaczęła się nim gwałtownie wachlować, zanosząc się krótkim, ostrym kaszlem. Ponieważ mimo to paliliśmy dalej, druga kobieta wzięła gazetę i zaczęła nią wywijać tak dzielnie, że o mało co nie porzuciła nam na kolana filiżanek z kawą. Bob syknął do mnie: „Lepiej zgaś papierosa” a ja odsyknęłam: „Zatuję, że nie mam wielkiego, czarnego cygara”. Bob popatrzył na mnie z wyrzutem, wyprowadził mnie na zewnątrz i wręczył mi małą broszurkę, którą z początku wzięłam za rozważania religijne, ale która jak się okazało opisywała okolicę, w której głębiach zaszła się nasza upatrzona ferma. Książeczka była napisana w samych superlatywach. „Góry Olimpijskie są największymi górami na kontynencie północno-amerykańskim... największe jodły na świecie... dwa miliony hektarów, z czego półtora miliona w stanie dzikim... Przylądek Flattery jest najbardziej na zachód wysuniętym punktem w Stanach Zjednoczonych... największa flota rybacka na Pacyfiku wypływa z Przylądka Flattery”. Mała książeczka obwieszczała, że tu oto można znaleźć naturę w całym majestacie, że prawdziwa okazja do bicia się do drzwi, że bogactwa naturalne błagają wprost, żeby ich użyć, a przepiękne drogi, żeby nimi podróżować. Wszystko to wydało mi się nieco histeryczne, ale wtedy nie znałam jeszcze tego kraju. Teraz wiem, że nie można go opisać inaczej niż w superlatywach. Najdzikszy, najbardziej wysunięty na zachód, największy, najgłębszy, najwspanialszy, najsurowszy, najwięcej mający zwierzyzny, najbogatszy, najurodzajniejszy, najsmutniejszy, najbardziej opuszczony — wszystkie te przymiot-



Największa powojenna wydawnicza sensacja amerykańska „Jajko i ja”, jest wesołą opowieścią o przygodach młodego małżeństwa. Dla zapewnienia sobie i żonie szczęśliwej i pewnej przyszłości Bob (mąż) kupuje fermę, na której oboje zakładają hodowlę kur. Drukowany poniżej odcinek „Jajka” opisuje podróż i pierwsze prace młodych małżonków na kurzej fermie.

niki należą się krajowi położonemu na wybrzeżu.

Prom dobił do brzegu. Wyjechawszy, Bob ostrzegł mnie, że mamy jeszcze przed sobą długą podróż i że jeśli chcemy wrócić tego wieczora, powinniśmy wyruszyć.

Droga z Docktown roła się od niebezpiecznych zakrętów, była wąska i pełna aut, ciężarówek i olbrzymich transportów drzewa, ciągnących się długim, zataczającym się ogonem na przyczepkach do ciężarówek. Wszyscy jechali, jakby się śpieszyli do pożaru i w dodatku po złej stronie drogi, a o zbliżaniu się do każdego zakrętu wiedziliśmy z daleka, słysząc ostry dźwięk hamulców i jęki opon. Bob jest świetnym kierowcą, ale i on miał trudności, kiedy na przykład ciężarówka ciągnąca za sobą trzy największe pnie największych jodeł na świecie, wyskoczyła zza zakrętu i musiała się jechać z drogi i uciekać do lasu, żeby uniknąć kompletnego zmiżdżenia przez rozbawioną przyczepkę. Szofer ciężarówki wychylił się oknem, roześmiał od ucha do ucha, machnął nam ręką i beztrosko pojechał sobie dalej. Cofneliśmy się z powrotem na szosę i pokuszyliśmy się godnie w dalszą drogę, tuląc się nerwowo do brzegu drogi za każdym razem, kiedyśmy zobaczyli ciężarówkę. Po pewnym czasie wjechaliśmy z lasów i zaczęliśmy okrążyć wielką dolinę, poszachowaną szmaragdowym zbożem zimowym, czarnym aksamitem zoranych pól i delikatną zielenią nowych pastwisk. To była mleczna okolica, gdzie najmniejsze fermy miały po 140 hektarów. Nieladne, pudłowane domy tuż przy drodze, nieozdobione kwiatami czy krzewami, stały po przeciwnej stronie drogi niż należące do nich pola, oparte o czarne zbrocza pokryte drzewami.

Biało-czarne Holsteiny i opu-

szczone fermi były dominującą nutą w krajobrazie i według Bob'a te pierwsze były odpowiedzialne za drugie. Dolina kiedyś szczyciła się najpiękniejszymi stadami Holsteiny w całym kraju i farmerzy porobili wielkie inwestycje w zarodową gospodarkę, a gdy ileś tam lat temu rynek na Holsteiny się załamał, wielu z nich zbankrutowało. Ci, których nie złamał krach na rynku, zostali prędko poskromieni przez zaraźliwe ronienie i gruźlicę szerzącą się w ich stadach, i przez rządowy plan drenowania, który obciążył ich ziemie wielkimi podatkami. W dodatku mieli oni ciągle problem sprzedaży i byli zależni albo od miejscowych mleczarni i przetwórnictw serów, albo od okazyjnych przedsiębiorstw w miastach, które, jak się skarżyli farmerzy, nigdy nie postępowały z nimi przyzwolnie. Mimo to, Bob nie rozklinał się nad ich losem, mówiąc, że byli rozpaczliwie zacofani i używając biblijnych metod produkcji, żalili się, że nie mogą wytrzymać konkurencji na dzisiejszym rynku.

Na dalekich polach zauważyłam kosmyki dymu, unoszące się z ziemi. Bob wyjaśnił: „Torf się pali. To jeden z największych dopustów tej okolicy. Lata temu, usiłując oczyścić trudne do oczyszczenia torfowiska, farmerzy podpalili wielkie kupy wyoranych pni, korzeni i drzew. Kiedy te się spaliły, odkryli ze zdumieniem, że ziemia też się paliła, i że ani kopanie rowów, ani orka, ani woda nie mogły tego pożaru ugasić. Po wielu doświadczeniach, przekonali się, że można ujarzmić ogień kopiąc rowy ponad metr głębokie, naokoło małego kawałka ziemi. To jednak okazało się tak wielką robotą, że w większości wypadków dali za wygraną i zostawili palącą się ziemię swemu losowi”.

— Czy po wypaleniu się ognia

ziemia nie nadaje się pod uprawę? — zapytałam.

— Niestety, nie nadaje się przez całe lata, bo torf pali się bardzo głęboko na mialki popiół, który nie może utrzymać wagi konia ani traktora. Pod ręczną uprawą ziemia taka rodzi kartofle wielkie jak arbuzy, i równie wodniste — zakończył Bob ponuro.

— Popatrz tylko na te pola — zawołałam pokazując na zaoraną ziemię, czarną jak lukrecja. — Cóż to musi być za bogata ziemia!

— Bogata to ona jest — Bob odpowiedział — ale to jest torfowisko, diabelnie drogie do oczyszczenia i wydrenowania. Jednego roku możesz tu wszystko wyyciszyć i obsiać, a następnego znowu co metr wyorzesz jakiegoś pniaka i musisz wszystko zaczynać od początku. I wszystko to musi w dodatku być drenowane rurami.

Po tej rozmowie jechaliśmy przez dłuższy czas w ciszy. Niezwyczajny torf leżał czarny i pogardliwy w dolinach naokoło nas, a niezwyczajne lasy szumiały nam ponad głowami ze zboczy górskich.

Zawijając się w swój płaszcz i wyglądając tęsknie jakiegoś miasta, myślałam: „Ten kraj buntuje się przeciw cywilizacji, i to nie jest taki sobie bunt, o! pokazujący język, ale wielki bunt, poparty przez wszystkie siły przyrody”.

Dojechaliśmy wreszcie do miasteczka, szczycącego się szaloną obfitością czterech instytucji: hotel, fryzjer, stacja benzynowa i sklep, który był jednocześnie pocztą. Na dodatek był tam jeszcze śliczny, mały cmentarz i imponująca, murowana szkoła. Pięć dróg wiodło z miasteczka, ale Bob nie zawahał się ani chwili i wybrał drogę biegnącą na południowy zachód, ku oszronionym Górą Olimpijskim. Przez wiele godzin potem nie napotkaliśmy już żadnego miasta, od czasu do czasu tylko małe sklepiki na rozstajnych drogach; żaywne doliny, porozdzielane zalesionymi pagórkami; stada bydła i rzadko rozsiadane domy fermerskie. Fermi ciągnęły się aż do stóp gór, i wsunęliśmy się tam tak niepostrzeżenie, że nie zauważyłam nawet, że jesteśmy już w samych górach, dopóki nie spojrzęłam przez okno auta i nie zobaczyłam bezsilnego strumyka górskiego, bijącego głową w olbrzymie ściany jaru. Żółte tablice ostrzegające: KRETA DROGA, ukazywały się od czasu do czasu i Bob włączył najpierw drugi, a potem pierwszy bieg, pchając się ślimakiem naprzód i w górę. Nieco później skręciliśmy z głównej szosy na boczną miękką drogę i dotarliśmy się wreszcie do „pewnego obiektu”, o którym mi mówił Bob.

Na pierwszy rzut oka ferma wyglądała rozpaczyliwie opuszczona: przycupnięta w podółku wielkich gór, miała poszarzałe deszczami i wiatrami zabudowania, sad zarośnięty młodymi jodłami, połamane płoty i pustką ziejącą okna. Wyglądało to zupełnie jak te stare opuszczone fermi, które ludzie przejeżdżający autem pokazują sobie, mówiąc: „Popatrz, jakie to malownicze!”, po czym jadą szybko dalej do czegoś nieco mniej malowniczego, ale cieplejszego i bliższego cywilizacji. Bob zatrzymał auto, żeby otworzyć bramę, a ja rozglądałam się smutnie po górach, tak bliskich, że miało się poczucie, jakby ktoś czytał przez ramię.

Podczas gdy ja stałam w progu „wczuwając się” w miejsce, Bob obchodził wszystko z młotkiem w ręku, obstukując ściany i wołając radośnie: „Betty, popatrz, ręcznie obrabiane cedrowe bale, i twarde jak orzech”.

Dom był widocznie swego czasu budowany, jako mała chatka, siedem metrów na siedem, do której potem dobudowywano z różnych stron. Był ślicznie położony, na

W IMIONNIKU JANA KAMYCZKA

(pisane w altanie w dzień odjazdu do Kolbuszowej).

*Janie, jeżeli języki potwarcze
Będą nas chciały rzucić w różne strony,
Wiedz, że się znowu skryjesz za mą tarczę,
Oraz za miecz mój wawrzynem zielony.*

*Duch twój na skrzydłach znów przybędzie do mnie
W to wielkie święto naszych czystych sumień.
I znów popłyną szczęśliwe ogromnie
Łzy nasze jak kręty strumień.*

*A absolutnie nam niczego dowieść
Nie będzie mogła żadna jęzka zła.
I znowu razem przeczytamy powieść
„Jajko i ja”*

K. I. Gałczyński

małym wzniesieniu, z którego starał się sad, przemieszczany teraz z jodłami, schodził łagodnym zboczem do małego jeziora czy dużego stawu. Oryginalna chatka była teraz salonem, z oknami od północy i od południa, i z małą rachityczną werandą od frontu. Do niej przybudowano inne pokoje i kuchnię. Okna wzywały na południe, poprzez sad, na staw, i, oczywiście, na góry. Góry były wszędzie. Gdzie tylko się obróciłam, natykałam się na coś wielkiego i solidnego i bęł! rozsiadała się góra, ignorująca mnie lodowato.

Na pierwszy rzut oka zabudowania wydawały się marne i nie do użytku, ale przy bliższym zbadaniu odkryliśmy, że miały solidnie postawiony szkielet i dzięki temu mogliśmy zaliczyć do aktywów fermy także wielką stodołę, dwa małe kurniki, szopę i wygódkę. Do aktywów również zaliczyć się cztery hektary ziemi, które nosiły ślady czyszczenia i dwanaście hektarów dziewiczego lasu cedrów, jodeł i cykuty. Niektóre z drzew miały dobrze ponad dwa metry średnicy.

Na skraju polanki, w cieniu wielkiej czarnej jodły, odkryliśmy studnię. Studnia była do połowy wypełniona wodą, ale zamiast wypelnionego strumienia, jaki powinien być o tej porze roku, woda leciała cienką nitką, więc Bob zdecydował, że studnia musiała być opuszczona i zaczęliśmy szukać wody gdzie indziej. U stóp sadu znaleźliśmy większe i energiczniejsze źródło, wpadające do stawu. Nie było ono jednak ogrodzone, ani nie wykazywało śladów użytkowania, zdecydowaliśmy więc, że było to albo coś nowego, albo cierpiało na letnią chorobę. Czas miał wykazać. I wykazał. Woda miała się stać jedną z poważniejszych obsesji w moim życiu.

Kompania hipoteczna żądała czterysta pięćdziesiąt dolarów za sześć hektarów, sześciopokojowy dom, stodołę, dwa małe kurniki, szopę, wygódkę i daszający się piec kuchenny. Licząc wszystkie nasze oszczędności, prezenty ślubne i urodzinowe i pewną sumę ze spadku, który miałam otrzymać przy pełnoletności — mieliśmy razem tysiąc pięćset dolarów. Siedliśmy więc pod wiśnią, na zalanym słońcem podwórzu i używając ciocielskiego niebieskiego ołwka, wyliczyliśmy na dachówce, że zapłacimy gotówką za fermę; siedemset dolarów oddamy do banku na kupno i wychowanie trzystu pięćdziesięciu kur; a resztę użyjemy na reperację zabudowań. Wodę i opał mieliśmy za darmo. Ogród warzywny miał być duży. Mieliśmy hodować świnię, żeby zjadała odpadki, kilka kur, żeby mieć jajka dla siebie, a zanim kury zaczęłyby się nieść, Bob mógł od czasu do czasu zarobić nieco pieniędzy pracując w jednym z tartaków. W ten sposób najprostszy plan życia dwojga ludzi, został wypisany niebieskim ołówkiem na podniszczonej dachówce.

Wyjeżdżaliśmy z fermy w pośpiechu, żeby jak najprędzej wprowadzić w życie nasze plany. Następnego ranka Bob zapłacił czterysta pięćdziesiąt dolarów i przyniósł do domu akt rejentałny. W tydzień potem zakładowaliśmy na pożyczoną ciężarówkę wszystkie nasze ruchomości i pojechaliśmy w góry, zanurzyć się po głowę w hodowlę kur.

„KTO, JA?”

CZYLI „BĄDŹMY WIEŚNIAKAMI”

— Kto, ja? — zapytałam, kiedy wprowadziliśmy się na fermę i Bob, wskazując od niechcenia wielką komodę, powiedział: „Zanieś to do sy-pialnego”.

— No, a kto? — warknął Bob zgryźliwie, a ja zrobiłam podkówkę, bo zrozumiałam, że odtąd byłam już tylko żoną.

— Kto, ja? — pytałam niedowierzająco, kiedy podał mi lejce olbrzymiego konia, pożyczonego od sąsiada i kazał mi zawieźć nim sianie spiętrzone korą do szopy, podczas gdy on sam miał zbierać następny ładunek.

— Tak, ty! I śpiesz się! — ryknął Bob.

— To, to już nie ja! — zaskrzeczałam, przy czyszczeniu sadu, kiedy kazał mi pozaciągać wiązania na jodły i drygować w którym kierunku należało ciągnąć, podczas gdy on powoził koniemi.

— Tak, ty. Wiem, że tego nie potrafisz, ale jesteś najlepszym pomocnikiem, jakiego w tej chwili mogę mieć — roześmiał się Bob gruboskórnie.

— Podaj mi młot. Pobiegnij do domu i przynieś więcej gwoździ. Pomóż mi okorować ten słup. Śpiesz się. Przyłóżno się lepiej do tego dra-ga. Napuść te podłogę, a ja tymczasem położę drugą. Tak się nie mierz okien, ty głuptasiu. Pomóż mi wyładować karmę dla kur. Zbiegnij na dół i przynieś parę wiader wody. Idź po te nasiona. Już czas napęłnić pojnik kurczętom. Przynieś mi kilka belek. Zetnij mi jeszcze ze dwadzieścia pięć wstawek. Oh, nie bądź dziecinna, przynieś je tutaj; nie będę przecież zlaził z dachu po każdy gwoździ.

Tak było przez całą tę pierwszą wiosnę i przez całe lato. Z nieprzytomnej szczęśliwości wpadłam w czarną rozpacz. Byłam chętna, ale rozpaczliwie niewykształcona. „Trzeba mi się było uczyć ciocielki albo ściągania skór, a nie baletu” jęczałam, obstukując filar kurnika i waląc przy okazji w moje własne już pomiażdżone palce, wiedząc, że lada chwila połknę garść gwoździ, które mi przekłuwały wargi i kalczyły policzki.

— Świetnie się sprawujesz — mawiał Bob dobitliwie. Mógł sobie na to pozwolić, bo sam pracował jak błyszcząca, ostra kosa. Bob był w robocie prędki, czysty, porządny i dokładny. Moje wszystkie wysiłki przypominały szrapnel — najlepiej było gdy w nie trafiały. Bob wbił gwoździe kilku pewnymi, prędkimi uderzeniami prosto w głowę. Ja wbiłam swoje gwoździe krzywo na siłę, i najlepsze nawet okazy wyglądały, jakby były ręcznie naginane pod kątem prostym. Bob piłował szybko, lekko i prosto po linii. Zzzzzzz — i już deska była przepiłowana, a dwie małe, porządne kupki trocinowe układały się grzecznie po każdej stronie. Moja piła falowała, była z trudem wyciągana i przemocą wpychana z powrotem, a kiedy wreszcie kończyłam, Bob mówił: „Jakim cudem potrafiłaś zrobić to wzbienie?...” Bob miał dość świadczynie i odpowiednio usposobienie, a ja miałam tylko wiele energii.

Pierwszego dnia wnieśliśmy wszystkie meble do domu. Myślałam, że nazajutrz weźmiemy się do szklenia okien, kładzenia nowych podłóg, malowania, i wylepiania ścian. Tak wydawało się tylko mnie. Następnego dnia zaczęliśmy budować wychowalnię, bo ważnym było zacząć hodowlę kurcząt.

Bob wyciął długie na dwadzieścia pięć stóp belki z budulca na miejscu, przywiózł resztę drzewa z tartaku, podczas gdy ja łupałam gonty przy pomocy tępego wyszczerbionego narzędzia i wielu soczystych przekleństw.

Zbudowaliśmy wychowalnię w najładniejszej części sadu, frontem do stawu i do gór, ale jej obecność nie pasowała do otoczenia, więc proponowałam Bobowi, żeby po-

sadzić kilka szybkorosnących szczepów dzikiego wina i parę krzaków, żeby ją nieco zakryć. Bob był tak przerażony, jakbym zaproponowała co najmniej wnieście paru doniczek kwiatów do sali operacyjnej.

— Wychowalnię buduje się na podłożonych belkach, żeby można ją było przenosić z miejsca na miejsce. Kurczęta muszą mieć nową, nieskażoną ziemię — powiedział Bob.

Wszystko to wydawało mi się dmuchaniem na zimne, bo ziemia tam cała była nieskażona i dziewicza, tak że wbijając w nią łopatę wyczekiwałam zawsze, że krzyknie: „Aj, boli!”, a każdy zarazek, któryby przetrzymał to surowe życie, byłby zapewne tak potężnych rozmiarów, że zobaczylibyśmy go z daleka. Mimo to wychowalnia została zbudowana na podkładach i pozostała w dalszym ciągu obrazą dla oka, oprócz dachu, który postarzał się bardzo pięknie.

Kiedy skończyliśmy wreszcie wychowalnię, gdy już zainstalowaliśmy tam piec i siedemsetpięćdziesiąt piszczących kurczaków — wydawało mi się, że zabiciemu robotę około domu. Noce były już wtedy zimne i padało przynajmniej trzy dni w tygodniu, i wydawało mi się, że moglibyśmy sobie dogodzić paru wstawionymi oknami i drzwiami. Tak wydawało się tylko mnie. Najważniejszą rzeczą z kolei okazało się wybudowanie dwóch nowych kurników, i wybielenie ścian i położenie nowej podłogi w jednym ze starych kurników. tak żeby kogutkom było możliwie jak najwygodniej w okresie tuczenia ich. Dla kogutków zrobiliśmy też piękny wybieg, a drugi stary kurnik przerobiliśmy dla prosiaka, ponieważ świniaki muszą mieć wygodnie i muszą być chronione od nocnego zimna i od wilgoci. Zanim skończyliśmy to wszystko, nadszedł maj, zimny i tak deszczowy i wilgotny, że na naszych ubraniach w szafach osiadała pleśń, a przykrywając się kołdrą człowiek miał wrażenie, że na siebie naciąga wodorosty.

— Teraz już mamy cały inwentarz ulokowany w cieple i wygodzie i na pewno weźmiemy się nareszcie do doprowadzenia domu do porządku — myślałam. Ale tak się wydawało tylko mnie.

Nadszedł czas orki i obsiania ogrodu. Czytałam kiedyś, że trudy życia na fermie, w połączeniu z życiem w górach, hartują człowieka niebywale. Po tych dwóch miesiącach jednak, byłam wciąż obolała, jak żab, a serce Boba było jedyną rzeczą, która się hartowała i stwardniała na fermie.

Pewnego pięknego majowego dnia, tuż po śniadaniu Bob wjechał na podwórze, siedząc na grzbiecie konia, który sądząc z rozmiarów, musiał być spłodzony przez słonia. Zarzucając niedbale lejce na słup, Bob poinformował mnie, że mam prowadzić tego potwora, podczas gdy on będzie siedział tyłu za pługiem. Wszystko układało się jako tako aż do chwili gdy Ptaszek, koń, nadepnął mi na nogę.

„On mi nadepnął na nogę — tłumaczyłam cierpliwie Bobowi, który narzekał, żeśmy się zatrzymali.

— No, to go nastąp i jedźmy dalej — krzyknął mężczyzna, który mi przysięgał miłość.

Tymczasem to co było moją nogą, było wdeptywane coraz głębiej w miękką ziemię, a Ptaszek przyskakiwał się marnotrawnie krajobrazowi. Biłam go po kolanie, krzyczałam na niego i krzyczałam na Boba, aż wreszcie Ptaszek zrobił roztargniony krok naprzód i podniósł nogę. Pokuszyłam się do domu i mocząc nogę snulam rozważania na temat mężczyzn i zwierząt.

DALSZY CIĄG ZA TYDZIEŃ

KRÓLA SĄDZONO NA LESZNIE...

(Fot. Film Polski)

Króla Cyganów Rudolfa Kwieka oskarżyli krewni o współprawkę z Gestapo. Proces ten odbył się przed sądem rejonowym na Lesznie w Warszawie



„...król dostał 40 000 złotych i samowolnie ściągnął mi pierścionek z palca” — stwierdza krewna króla Zofia Kwiek, będąca z mężem głównym świadkiem oskarżenia



„...szkoda, że od razu nie powiesz, że cię w ogóle zabiliem! Strach pomyśleć ile fałszu i kłamstwa przemiłowało mnie!” — woła w świętym oburzeniu prześladowany władca



„Jaki też wyrok dadzą memu ojcu” — królowiec Trojan Kwiek patrzy z niepokojem na ławę oskarżonych. Również i sama królowa jest zaniekolona o los całej dynastii. Natomiast młoda księżniczka uśmiecha się zadowolnie



Rudolf Kwiek uwolniony został od winy i kary. Król w przystępie radości chciał ścisnąć swego obrońcę, bełkotując coś w formie podziękowania. Oskarżyciele ulotnili się dyskretnie, zaś niewidoczna na fotografii, ale wierna rodzina, czeka by móc zacząć całować dostojne dłonie monarchy

Rudolf Kwiek vel Bananero, jest niskim, korpulentnym, 70-letnim panem, którego jowialny wygląd podkreślają dobrze wypielęgnowane, siemiaste włosy. Patrząc na niego, trudno opędnąć się natrętnej myśli, że postać ta wypadła z cyklu karykatur Sogliwa „Mały Król”. Monarcha ma kilka autentycznych obywatelstw, z których obecnie posługuje się hiszpańskim, którego atrybutem jest piękne miano — Bananero. Objechał wiele krajów i był nawet w mieście, które początkujący protokolant zapisał w aktach śledczych


[illegible]

A black and white photograph of a smiling man and woman sitting outdoors. The man is wearing a military-style shirt and has a backpack on. The woman is holding a small dog.



Dorobkiem emigracyjnym Konrada Ekierta jest młoda Francuzka, Arella Francis, która ukrywała go przez cały czas okupacji niemieckiej u swych rodziców w Płochy-Buyon (Somme) a następnie ciempielwie czekała, podczas gdy Konrad walczył w II Korpusie. Obecnie Arella jako pani Ekiertowa jedzie z mężem do swej nowej Ojczyzny

Wadługu umowy, wyraża z emigrantami 5 składowców poglądów francuskich na przemian z 5 polskimi. Podkreślają, chcąc wiedzieć o tym, co ich czeka w kraju, rozprawy z naszymi koleżkami politykami. — Gorzej nam tam nie będzie niż tutaj — odpowiada grupie republikańskiej lejarz Stanisław Gajda z Brwinowa. — Raczej lepiej!



Najbliższe tłumoki repatrianta nie mogą się obejść bez kilku butelek wino słernie upolowanego w słomę Józef Kormanek z Rulitz postanowił wziąć jedną taką butelkę przed pacho" (choć rozpachy mu kieszanie nowego, spramionego tu przed wyjazdem ubranie), słysząc, że ten, który z niego, z przetrzymywania, przetrzymuje

A ja z Francji boso jadę
Widzę ludzi moją biedę,
I bez portek i bez gaci
Na nas majster klepszo! płaci
Bo śniadanie papicrosa
A na obiad ani grosza
A kolacja przegwizdana
Hula! kundo aż do rana!
Bo te kundy co rajują
Co zarabia, to przepiją,
Co zarabia, siekierzećką
To przepiją z paleneczką.

[illegible][illegible][illegible]

Oto przejmujący w swej lapidarności i wprost wzniosły wzniośle, dla niecierpliwych do znużenia banalna historia emigracyjnego życia.

Trisk Tomasz Borkowski zaczepne na Stoku już pracuje, już jak chłopa, dla przetrwania, choć nie powolić im się tu, już, jak u sam musiał.

A tymczasem z pobliska francuskich kościoł, a osódek rolniczych i przemysłowych, regularnie co kilka dni odjeżdża; transporty z repatriantami.


MARIA JAROCZOWSKA

FOT. WL. SŁAWNY TEKST M. JAROCHOWSKA (KORESPONDENCJA WŁASNA)

A JA Z FRANCJI BOSO JADE...

A large crowd of people, mostly men in suits and hats, gathered outdoors for a formal event. In the background, a large, multi-story building with many windows is visible.

Dzień odjazdu stał się świętem w całej okolicy. Goście tłumy gromadzą się na dworcu, aby żegnać wprawdzie nieznajomych, lecz dla nich nie mniej miłych i „kumy”. Nie długo oni także ruszą w tę samą drogę.




Ciągnięci PCK wsiadli do pociągu biegaś. Każdy stara się zabrać ze sobą coś, czego może dobyć. Na ścianie mieszkań zostaje tylko podłokwy, obklejone srebrnym staniem. Nie zawsze przemyślnie, czasem nie używając, niewielewarte zabiorze je do kraju. Gdy biegaś jest już ładowany, suta ciężarówka przewozi z osad do pociągu pasażerów. Hup! — i skończone przez drugich, jak byk najgłębiej zajeżdż miejsce w wagonie.

ENCJA WŁASNA)

JADE...



Obłady poszczególnych wagonów rywalizują między sobą w dekorowaniu swych wozów. Jaroń jest w zieleni, kwiaty, lancuchy ze słomy, portrety członków kół; transparenty z napisem najczęściej obłożymy nie przyklejania ortografii: „Ojczyzno, wracamy na spali huj!”

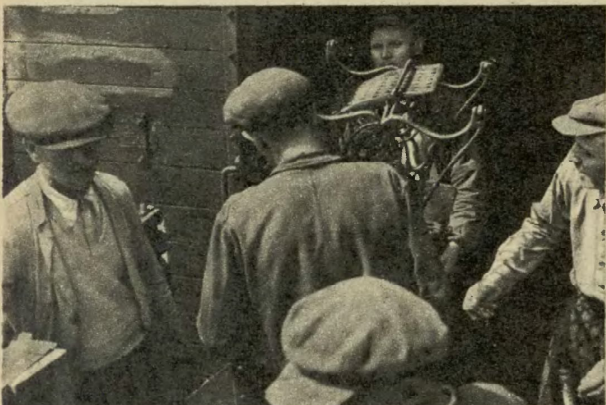


Podczas, gdy urzędnicy na dworcu pod gołym niebem kumieją rozdzielając miejsca w wagonach, repatrianci czekają wraz ze swym podległym bogactwem na peronie. Tymczasem repatriację się, w posiedgu kuchnia wagonowa, która będzie karmić repatriantów przez czas podróży. Zanim zgłosi się pierwszy obiad, dobrze smakuje na świeżym powietrzu posiłek z własnych zapasów, zakupionych na drogę. Szczególnie u dzieci podróż niezwykle wspaniale upłyła

M A R I A J A R O C H O W S K A



Jerzy Berucik z Amiens nie kłopotuje się jeszcze ani dniem wczorajszym, ani tym, co go czeka. Ma za sobą zaledwie 4 miesiące przeszłości, jest najmłodszym z 4-ga rodzeństwa i swoją naukę ludzkiej mowy rozpocznie od słowa „mama”, a nie, jak trzech jego starszych braciszków — od francuskiego słowa „maman”



Zygmunt Kaczyński, górnik z Fougiers Lens dźwiga żoną maszyną do szycia. Przyda się w Polsce po 25 latach wychodźstwa. Pani Kaczyńska będzie pomagać mężowi jak dotychczas, szyjąc sukienki miejscowym eleganckim, a krój „paryski” z pewnością zyska sobie ogromne powodzenie na Dolnym Śląsku



Jan Macierzyński, robotnik leśny, wraca po 15 latach nieobecności do swego gospodarstwa na Lubelszczyźnie. Nie spodziewa się w Polsce chleba z miodem, ale wiezie ze sobą tego miodu obietnicę w postaci roju własnych pszczół, wypełniających drewnianą skrzynię głośnym i niecierpliwym szumem brzęczenia



Przysłowiu „wybiera się jak sówka za morze” przeczy powyższy obrazek: — Karola, jedziem i już — oznajmił swej sójce Stanisław Stańczyk, górnik z Houda, sówka zaś towarzyszy mu bez ociągania. W swej ozdobnej, misternie rzeźbionej klatce szybciej przybędzie do celu podróży niż na własnych skrzydłach



— Do zobaczenia w Polsce — żegna kolejarz emigrantkę, która przybyła, aby pożegnać odjeżdżających znajomych. Czułe argumenty kolejarza musiały być przekonujące, bo niewiasta zapewnia, że najbliższym transportem wybierze się do kraju



Zęby pogubili na łulaczce, ale humoru nie roztrwonili. I gdy w letnie, gorące południe, rusza uśmiejony zielenią wagon z transportem wszyscy podróżni przy donośnych dźwiękach harmonii śpiewają wesoło — żegnaj Francjo, witaj Polsko!

Gustaw Danilowski: **Z MINIONYCH** DNI. Powieść. Sp. Wyd. „Czytelnik”. 1947. Str. 181.

Dobrze jest niekiedy — dla wypoczynku — cofnąć się pamięcią w czasy starych, ustroinych dworów wiejskich, gdzie rozgrywały się „mroczne dramaty rodzinne”. Znajduje się tam wiele dziwów i wielu dziwaków pamiętających jeszcze Wielkiego Cesarza. „Z minionych dni” — to długa gawęda, pełna opisów zimowych wieczorów, zdradliwych trzęsawisk i w ogóle „rzeczy strasznych”. Jest naturalnie i tajemniczy park i stryszek z masą nieprzydatnych rupieci. Dziś czyta się to wszystko z pewnym pobawianiem, jako że wstrząsające owym światłem zdarzenia, są wobec dziś przeżywanym, niczym strzelanie z torb papierowych wobec wybuchów bomb samolotowych. Dobra i przyjemna lektura. Ziem.

Wiech (Stefan Wiechecki): **CAFÉ POD MINOGA**. Powieść. Ilustracje Jerzy Zaruba. Wyd. „AWIR”. Katowice. 1947. Str. 232.

Prędzej, niż ktokolwiek mógł oczekiwać ukazała się w wydaniu książkowym pierwsza powieść Wiecha. Pamiętacie ją wszyscy, jak była drukowana w „Przekroju”. Pamiętacie również rysunki Jerzego Zaruby. Każdy z Was przypomniał sobie „Minogę” ku pożytkowi i radości. Koź.

Jan Dąbrowski: **MIĘSCE POD SŁOŃCEM**. Powieść. Wyd. IL Spółdż. Wyd. „Wiedza”. Warszawa. 1947. Str. 186.

Trzęsł powieści są dzieła bezrobotnego, żyjącego w Polsce między dwoma wojnami światowymi, który, prześladowany z powodu przekonań politycznych, swe jedyne „miejsce pod słońcem” znajduje dopiero w wienieniu. Najsłabsza nawet tendencja polityczna nie usprawiedliwia jednak wydawania źle napisanych powieści. Nie wystarczy trzon ideowy i dziennikarska umiejętność pisania, żeby napisać dobrą książkę. Książka Jana Dąbrowskiego jest nieporadną powieścią, w której tendencja polityczna dominuje za każdą cenę, a przede wszystkim za cenę poziomu artystycznego. Nie jesteśmy w stanie zrozumieć dlaczego wznawia się zle książki, tym bardziej, iż już i przed wojną obiektywni i politycznie nawet przychylni krytycy nie odeszli się z powieściami Dąbrowskiego zbyt łaskawie. Koź.

Józef Sawajner: **W PODZIEMIACH TAJNEJ Drukarni**. Kraków. 1947. Wyd. L. Wierchowski. Str. 76.

Broszura Sawajnera, która ukazała się ostatnio przynosi wiele ciekawych szczegółów o pracy tajnej drukarni Konspiracyjnych Wojskowych Zakładów Wydawniczych. Sensacją książki jest odbitka fotograficzna strony ogłoszeń słynnego „podziemnego” wydania „Gońca Krakowskiego” z 1943 roku. Z ogłoszeń tych — dla przypomnienia — przytaczamy dwa:

1. „Przyrzędy ginekologiczne, nieodzowne do porodu Wielkich Niemiec chętnie kupię. Adolf Hitler, Reichskanzler — Berlin”.

2. „Zgubiłem flotę niemiecką i szukam swoich łodzi podwodnych. Admirał Doenitz”.

Ow numer „Gońca” z 1943 r., został złożony właśnie w drukarni KWZW.

kydr.

NOWE DROGI. Czasopismo społeczno-polityczne. Wydawnictwo KC PPR. Nr 4. Lipiec 1947. Str. 226.

Dwumiesięcznik „Nowe Drogi” jest jednym z najciekawszych periodyków. Ostatni — czwarty — numer zawiera cztery doskonałe pozycje, z którymi winien się zapoznać każdy działacz polityczny czy społeczny. Wicepremier Gomulka reasumuje osiągnięcia i cele stojące przed społeczeństwem w związku z Trzecią Rocznicą PKWN. Roman Zambrowski w artykule „Decydujący czynnik stabilizacji politycznej” porusza sprawę jednolitego frontu PPR i PPS. Stefan Jędrzejowski omawia obecną fazę naszej polityki gospodarczej. Historyczka Cecylia Bobińska dyskutuje z paru publicystami, głoszącymi dziś teorie pewnego neo-pozytywizmu i rewizjonizmu historycznego (Kruszyński, Bocheński, Horodyński i inni). Ponadto w tym samym numerze doskonale i bogato opracowany dział międzynarodowy zawierający prace pisarzy radzieckich i francuskich. Top.

Charaktery

WERONIKA ALBO STAROŚĆ NIEPOWAŻNA. Weronika mówi do przyjaciółki: „Dziś — hm — kończę jednak te swoje pięćdziesiąt lat życia. Bądź pewna, że nie tylko bez zgody na ten gwałt nade mną, ale z nieopisanym ponadto zdziwieniem. Każdy przez długie lata przywyka do tego, że jest młody, to stanowi najdawniejsze nasze przyzwyczajenie. Nie z własnej przecież woli, Jolanto — ciągnie Weronika — ono to wydaje na mnie ten wyrok. O dziwo! Byłaby to kara za wszystkie rozkosze, wypite przeze mnie z faktu, że uczestniczę w ruchu gwiazd, planet i słońc, że nieopatrznie — co dzień jednak obracam się z ziemią”.

Jolanta milczy. „Kto wie — rozmyśla głośno Weronika — czy z chwilą, gdy najlepsze specyfiki Elisabeth Arden przestały odmładzać twarz, nie nadszedł czas, aby wybrać się w nieustającą drogę na zachód, po prostu nie wysiadać z samolotu. Ale cóż, kiedy każda tak męcząca i kosztowna podróż naokoło świata da mi w wyniku jeden zaledwie uratowany od przemijania dzień...”.

Jolanta nie odpowiada, tylko śmieje się w sposób, nie budzący w Weronice zaufania. Śmieje się ponieważ dobrze wie, że o tym dniu Weronika kończy nie pięćdziesiąt, ale pięćdziesiąt siódmy rok życia.

Tak sobie myśli. Mówi zaś tylko, że jednostką miary wieku jest przecież rok, nie dzień.

A zahamowanie ziemi w jej odstukującym lata gorliwym i spiralnym uganianiu się za słońcem, mknącym w nieskończoność, i tak nie leży w mocy Weroniki.

JANUARY ALBO MĄDROŚĆ UCIAZLIWA. January jest rozumny, ale odznacza się nadmiernie silną wrażliwością na głupotę cudzą. Jego o niej przeświadczenie idzie tak daleko, że nasileniem swym wyczerpuje niekiedy cały zapas jego mądrości własnej. I to w chwili, gdy należałoby ją właśnie w stanie luźnym, niejako — nie związaną, uruchomić i głupocie dla pouczenia innych przeciwstawić.

January bowiem nie posiada wyobraźni, dlatego w sporze z drugim człowiekiem nie bierze nigdy pod uwagę motywów i założeń jego słuszności. Nie uwzględnia też jej złożonego mechanizmu. Nie obchodzi go jej historyczne podłoże i wynikająca zeń psychologiczna konieczność. To też nie zwalcza przeciwnika tam gdzie jest on istotnie do zachwiania, a

gdzie można go zaskoczyć i przyniknąć, tylko uderza w formułę jego wiary, w twardą skórę jego moralnej postawy, w suchy i niemądry tekst dogmatu.

Marzeniem jego młodości jest jednanie ludzi, przekonanie ich o swojej wiedzy, wzmocnienie liczebne własnych szeregów. Postępuje natomiast jakby mu szło o coś wręcz przeciwnego. Jest nabyt pewny swej słuszności, jest swą słusznością wprost olśniony, zamroczony nią do tego stopnia, że możliwych przyjaciół przeobraża w najzaciętszych swych wrogów. Odstępuje ich od swych wierzeń, zagania w ciasne mroki ich warowni, skąd nie mają już możliwości wyjścia z honorem i gdzie też nie dosięgają ich już jego cięsy. Walczy złym słowem, urągającym epitetem, wyrzeka się natomiast najcenniejszych osiągnięć dowodu i perswazji.

Mądrość tkwi w nim niejako otorbiona, izolowana, nie przychodzi mu z pomocą, gdy jest najbardziej potrzebna. January osobno mówi parę pięknych i trafnych uwag o rygorach ścisłego myślenia i przestrzeganiu zasad argumentacji. A zaraz później używa zapewnień bez treści, jak: „dziś nikt już nie powie, że” albo: „obecnie już każdy zrozumiał, że” — i tak ubezpieczony podaje tekst słuszności własnej. A właśnie o to chodzi, że owszem, wielu „powie”, że rozumie nie „każdy”. Bo gdyby nikt nie powiedział i każdy naprawdę rozumiał January nie miałby przecież o co się spierać.

Wychodzi na to, że January zdolny jest przekonać tych tylko, którzy już przedtem myśleli tak jak on.

Bo rzeczą zadziwiająca i nawet trudną do wiary jest, że słuszność leży istotnie po stronie Januarego, że krótko mówiąc — on to ma rację. Rzecz zadziwiająca i zarazem troskę budząca. Słuszność ta bowiem domaga się innej obrony, nakazuje mianowicie badawcze wnikięcie w istotę słuszności innych.

Przy odrobinie wyobraźni i cokolwiek mniejszej pewności siebie — January zamiast urażać i odtrącać, zamiast stawiać warunki przymierza, których człowiek z ambicją przyjąć nie może — dosięgnąłby mądrością swoją głupoty innych według doskonałych metod sztuki prowadzenia sporów. Może też udzieliłby im wówczas swej niewątpliwej wiedzy o sprawach ludzkich. A mądrość jego stała by się czymś więcej, niż zaporą pomiędzy nim i światem.



W związku z artykułem w 123 numerze „Przekroju” otrzymaliśmy list następujący:

DO REDAKTORA „PRZEKROJU”

Cały naród jest zainteresowany tym co się dzieje z arasami i innymi pamiatkami narodowymi, jakie zostały wywiezione z Wawelu w pierwszych dniach września 1939 roku.

Z chwilą najazdu hitlerowskiego na Polskę, arasy wawelskie zabral w obawie przed Niemcami kustosz Muzeum Wawelskiego dr Stanisław Swierż-Zalewski, przy pomocy pana Polkowskiego.

Wędrówka arasów była długa. Z Rumunii do Francji, a potem przez Anglię do Kanady i tu zostały umieszczone na fermie eksperymentalnej w Ottawie.

Wkrótce po przyjeździe do Kanady dowiedziałem się, że arasami i innymi pamiatkami narodowymi opiekują się członkowie byłego poselstwa w Ottawie. Wydawało mi się, że nie łatwiejszego, jak przejechać skarbów i odesłanie ich na Wawel; tymczasem okazało się, że panowie ci nie są skłonni oddać majątku narodowego. Opinia publiczna tłumaczyła, że nie mogą arasów wydać polskiemu poselstwu, gdyż pojadą one nie na Wawel, lecz wprost do Moskwy. Nikt w to nie wierzył, ale dla przykrycia swoich brudnych machinacji, każdy wykręt jest dobry. Na stanowisku prawdziwie patriotycznym stanął dr Stanisław Swierż-Zalewski, który w trosce o pamiatki narodowe pomagał nam odsukać dzieła sztuki, które zostały gdzieś zamelinowane przez ludzi londyńskiego reżimu. Okazało się, że przed przyjazdem moim do Ottawy zostały one zabrane z fermy eksperymentalnej i umieszczone w klasztorach. Osiem pak arasów w klasztorze w Ottawie, a 24 paki w klasztorze w Quebecu.

Kiedy do klasztoru zgłosiła się oficjalnie delegacja poselstwa polniformowanego, iż arasy zostały zabrane przez pana Polkowskiego, byłego pracownika na Wawelu. Od tego czasu poszukiwania trwały i rząd kanadyjski uczynił nacisk na zlikwidowanie tej bardzo kompromitującej afery. Przyciśnięci do muru aferyści zobowiązali się dostarczyć arasy do Muzeum Narodowego w Ottawie. Czy zostały już dostarczone? Nie mam wiadomości.

W rękach kustosa Zalewskiego znajduje się obecnie chorągiew zdobytą przez króla Sobieskiego pod Parkanami i kilkanaście dywanów Wawelskich. Poza tym w „Bank of Montreal” zostały zabezpieczone 2 kufry z mieczem Chrobrego, buławą hetmańską, egzemplarzem Kazań Świętokrzyskich, biblią Gutenberga, rekopisami Szopena i wielu innymi zabytkami. Z chwilą otrzymania arasów, a jest ich 132, kustosz dr Zalewski wróci ze skarbami do Krakowa.

Dr Alfred Fiderkiewicz
b. poseł R. P. w Kanadzie

DO REDAKTORA „PRZEKROJU”

W numerze 122 „Przekroju” można podziwiać przystojnego lotnika, wybijającego się właśnie w podróż helikopterem, aby rozpyłać nad Szwecją proszek DDT. „Przekroju” urabia opinie miliona czytelników, dlatego ważną jest rzeczą, aby ta opinia była zgodna z rzeczywistym interesem ogółu, opartym na podstawach naukowych. Wynalazek w istocie jest cenny. Jednak w stosowaniu go na szeroką skalę należy kierować się rozważa! DDT niszczy owady i czyni to nawet bardzo radykalnie. Dla wszystkich, którym dość nadokuczały „złośliwe muchy i komary”, jest to powód do radości. Ale pamiętajmy o jednym! Proszek DDT, rozpylany z samolotu na wielkie przestrzenie, niszczy w s y s t e m i e owady, nie tylko te, które dla nas osobiście są nie mile lub szkodliwe, ale bez wyjątku wszystkie. Pozostawia pustynię „bezwadzią”. A w przyrodzie istnieje ustalone równowaga i błąd temu, kto ją zakłóci! Wielokrotnie już zwracał się do Ciebie człowieku, gdy wdzierając się w biocenozę przyrody, psuł jej harmonijny ład. Cóż się stanie, gdy wystąpią owady? — Zniszczymy tym samym ptaki śpiewające, ssaki owadożerne, a to pociągnie za sobą dalsze konsekwencje i trudno nawet przewidzieć, jakie ostatecznie zaburzenia w przyrodzie spowodujemy. Obuśmy nie wylewali dziecka razem z kąpielą i nie miażdżyli dokuczliwej muchy wraz z czołem śpiącego! Amerykanie dysponują wielkimi terytoriami i stać ich na eksperymenty nawet bardzo ryzykowne, ale kto wie, czy i oni wkrótce nie pożałują rozpylania tego proszku z samolotów, gdy stwierdzą rozmiary klęski, spowodowanej zakłóceniem równowagi w przyrodzie. Stosowane tego bezwzględnie cennego wynalazku, jakim jest DDT, należy wprawdzie poddać bardzo sumiennym badaniom naukowym, przeprowadzonym przez fachowców, nie chemików lecz biologów.

Prof. dr Jan Mydlarski
U. M. C. S. Lublin.

STEFANIA GRODZIENSKA

WAZON Od Cioci Heli

FELIETONOWELA

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ODCINKÓW: Maciupscy oczekują przyjazdu cioci Heli, od której zależy losy ich córki. Nagle przypominają sobie, że japoński wazon, który od niej otrzymali, ofiarowali Pichcikowski. W obawie, że ciocia Hela się obrazi, postanawiają za wszelką cenę wazon od Pichcikowskich odebrać. W tym celu opowiadają im zmyśloną historię o kolekcjonerze wazonów, który jakoby przyjechał z zagranicy i poszukuje właśnie tego wazonu. Pichcikowscy wazon zwracają, ale potem interpretują historię Maciupskich na swój sposób. Tymczasem odzyskany wazon znika tajemniczo z mieszkania Maciupskich. Dokola sprawy wybucha burza plotek, rzecz trafia do prasy.

„Drogi Kociu!” — pisała Pichcikowska — „Nie rozumiem, dlaczego tak mało mam od Ciebie wiadomości. Przez cały czas jedna kartka i nie z niej nie wiem. Czy Lodzia odebrała mój szalafar z chemicznej pralni? Pewnie nie, ona by o czym pamiętała. Spotykam tu Jampakową, co dzień w innej toalecie. Skąd ona na to ma? Co jadasz na obiad? Niech Lodzia nie kupuje wędliny na rogu, raz mi wpakowali zepsutą szynkę. W tym domu wypoczynkowym byłoby zupełnie możliwe, gdyby nie to, że bardzo mało osób z towarzystwa, które przyjechały na wypocinek. Sami ludzie na wczasach. Kobiety okropnie poublerane, a mężczyźni podczas obiadu rozmawiają o planie trzyletnim. Czasami żałuję, że nie zostałam na wsi do końca, tylko że nie wypada, żeby akurat ja jedna nie była w tym roku na Wybrzeżu. Wyobraź sobie, że przy sąsiednim stole siedzą jacyś ludzie, o których słyszałam, że to są podobno robotnicy! Przyglądam im się, ale gdyby mi nie powiedziano, że to robotnicy, to bym przysięgła, że kuracjusze. Wprawdzie jeden ma wasy, ale przecież mąż Janki też ma wasy, więc to niczego nie dowodzi. W morzu raz się kąpałam, ale zupełnie mi się włosy rozpuściły, więc to nie ma sensu. Franio się zaprzyjaźnił z synem jakiegoś człowieka, co do którego nie mam pewności, czy nie jest robotnikiem, ale nie wiem, czy teraz jest na czasie, żeby mu zabronić się z nim bawić. Jak ty uważasz? Masło tu o 20 złotych droższe. Jampakowa wczoraj nosiła płaszcz z białej wielbladziej wełny, wyglądała jak wariatka. Jak ja ci mówiłam, że chcę mieć taki płaszcz, to nie chciałeś mi sprawić, a teraz ona ma a ja nie. Na plażę nie chodzę, bo Jampakowa twierdzi, że jak są te wczasy, to nie można wytrzymać. Wszędzie ich pełno. Rzeki, wściekle, jeżeli już mamy szerszy dostęp do morza, to chyba nie po to, żeby tu przyjeżdżali ludzie, którzy pierwszy raz w życiu są nad morzem. Wydziewają, jakby to było coś nadzwyczajnego. Biejąca woda, obasypana nakołobłaskiem. Przed wojną na przykład w tej miejscowości było zupełnie inaczej. Nigdy nie miałam odwagi tu przyjechać, takie towarzystwo tu bywało. Nic dziwnego, tu już była zagranica. Ale teraz przecież mamy nowe porządki. Jedyna pociecha, że historia z wazonem tu też jest bardzo popularna i już wszyscy wiedzą, że ja jestem ta Pichcikowska, u której był wazon. Muszę więc opowiadać, jak to było

i wszyscy uważają, że w wykradzenie wazonu są zamieszane bardzo wysokie czynniki. Czy widujesz Maciupskich? Gdybyś się dowiedział czegoś nowego, to napisz natychmiast, bo ja tu uchodzę za pierwsze źródło i wszędzie mnie zapraszają. Byłoby mi pół kilo. Franio dobrze wygląda. Tylko wciął ma obstrukcję. Niech Lodzia zamarynuje śliwki, tylko niech kupi na targu, bo taniej.

Całuję Cię

Twoja Cesia

P. S. Nie jedź na noc mięsa. Twoja Cesia”.

Pichcikowski włożył list z powrotem do koperty, zanotował na kalendarzu „odpisać Cesi” i poszedł do biura.

— Co nowego, panie Konstanty? — zagadnął go na korytarzu bezpośredni szef.

— Dziękuję, panie naczelniku — uklonił się Pichcikowski.

— Pan, zdaje się, słomiany wdowiec, co? Rodzina na wsi?

— Ścisłe mówiąc, rodzina była na wsi, panie naczelniku,

ale żona tak ciężko pracuje cały rok przy gospodarstwie i, jakby to powiedzieć, na niwie społecznej, że zrobiłem wysiłek, żeby się trochę rozerwała na Wybrzeżu.

— Bardzo szlachetnie, bardzo słusznie. I co, zadowolona?

— Szczęśliwa, panie naczelniku. Jest w domu wypoczynkowym i zachwycona, że, prawdę mówiąc, różnie klasowych. Właśnie list od niej miałem — „coś to za zdobycz demokratyczną” — pisze. Ze każdej, prawdę mówiąc, może wyjechać. „Coś to za błogosławieństwo, że wczasy pracownicze” — pisze. Ze umożliwiono szerokim masom, prawdę.

— Tak, tak. To ładnie, że pańska małżonka to docenia. Byle by jej pogoda dopisała.

Naczelnik skinął głową i wszedł do swego gabinetu.

— Serwus, Konstanty. O czym żeś tam głąbił szefowi? — zaczął Pichcikowski kolega.

— Wypytywałem mnie o rodzinę. Wiesz, facet przepada za mną. Może dlatego, że ja mu

zawsze wygarnę prosto z mostu.

— Coś mu powiedział?

— Nie takiego. Pyta mnie, czy żona zadowolona z pobytu na Wybrzeżu. Więc ja mu prosto z mostu. Ze jak może być zadowolona, kiedy tam sama hołota z tych związków zawodowych. Kobieta bądź co bądź z kindersztubą, skarży się w liście, że nie umieją się przy stole zachować. „Potworne sceny się dzieją” — pisze. Ze do morza nie można wejść.

— I tak mu powiedziałeś?

— Prosto z mostu. Co się będzie kłóciło. Dlatego mnie tak ceni. No, przepaszam cię, trzeba zajrzeć do roboty.

Pichcikowski niedbale krótkim przemierzając korytarz i wszedł do pokoju, w którym urzędował. Z niechęcią spojrzawszy na stos korespondencji adresowanej do jego działu, zapalił papierosa, poprosił woźnego o herbatę i zadzwonił do panu Sylwii Kocińskiej z biura, aby ją zaprosił na obiad.

CIĄG DALSZY ZA TYDZIEŃ

DEMOKRATYCZNY
SAVOIR VIVRE
W ODCINKACH
opracował: Jan Kamiński

ODCINEK XXV
BON-TON W BURZIE
(Ciąg dalszy)

Urzędnicy i klienci

Najgorszą zarazą biurową są bezwzględnie klienci „prywatni” — tj. ludzie, których łączy z urzędnikiem towarzyska znajomość z baru „Pod Słupą Kiszka” lub z mielnikiem cioci Malinowką. Taki facet, w najgłębszym przekonaniu, iż jest niesychanym miłym i pożądanym gościem, nadochodzi nieszczęsnemu znajomemu w godzinach biurowych i nadliczbowych mniej więcej co drugi dzień, najchętniej w porze największego nasilenia biurowej gorączki, po to tylko, aby nieszczęsnemu znajomemu złożyć swoje uszanowanie („tak sobie wpadłem, no co słychać”), lub żeby mu zakomunikować, że Złuta z Tolkim już trzeci dzień chodzą razem na plażę, przy czym żąda bezwzględnie regularnej rozmowy towarzyskiej ze wszystkimi szczykami oraz wyrazów entuzjazmu i wdzięczności „za pamięć” i taskawe odpowiedź. Błagam was, o znajomi, przestańcie! Demokratyczny bowiem savoir-vivre stanowi nie zezwala na prywatne wizyty w biurze. Fe! Ani też nie zobowiązuje kasjera banku „Spółem” do zabawiania swych prywatnych gości ploteczkami między jedną wypłatą a drugą. O tym pamiętajcie, o wyż. wspomniani znajomi w wypadku, gdy kasjer wyrzuci was już po 5 minutach salonowego sześciotnia „zbiła mordę”. Przy czym jeśli czynności tej towarzyskiej będą słowa „najmniejszy cie przeprasza, ale jestem niesychanie zajęty, może spotkamy się po biurze w „Orionie” — będzie to ze stro. wy urzędnika najwyższy już wyraz nadobowiązkowej hiperdentelmenerii. Które to złote zasady dotyczą również prywatnych rozmów telefonicznych w biurze.

Jeszcze tragiczniejszym jest wypadek, gdy prywatny znajomy urzędnika ma jakąś sprawę do załatwienia w tym właśnie biurze. — Przede wszystkim taki facet jest zdania, że panna Kazia, sprawująca w MSZ-ie odpowiedzialną funkcję jednej z 10-ciu maszynistek, ma najświetniejszy obowiązek załatwienia dla swego znajomego z dancysgu paszportu zagranicznego wraz z wizą do USA i pozwoleniem na wywóz nieograniczonej ilości dewiz. Następnie — że ma najświetniejszy obowiązek załatwienia tego „od ręki” względnie „na poczekaniu”. Następnie — że winna okraszać paszport faceta i jego częste wizyty z tym związane — czarownym uśmiechem szczęścia i zadowolonia a także rozmówkami na temat „a jak się czuje pańska małżonka na wczasach”. Jeśli zaś wspomniana panna Kazia po chwili któryś z wyż. wym. momentów — lub jeśli, o zgrozo, wprost odmówi próbie faceta, powołując się na oczywistą niemożliwość załatwienia sprawy w ramach swych skromnych kompetencji — facet z oburzeniem zrywa z nią wszelkie stosunki towarzyskie, i pozostawia, rzecz można, na bruku złamane serce dziewczyny. To też raz jeszcze was blagam, o znajomi, przestańcie! Nie żądajcie od swych znajomych aby byli wszechmocni! Nie żądajcie, aby byli anielsko cierpliwi! Nie żądajcie, aby w biurze byli waszymi znajomymi! — Czego Wam życzy cały demokratyczny bon-ton, amen.

Ciąg dalszy za tydzień

ROK I Cieplice, 31 bm. 1947 r. Nr 11



Numer zadedykowany nerwowo chorym

CHRONICZNA GŁUCHOTA

na wszelkie zażalenia wykazuje najsprawniej **ORBIS** [Górze].

Najpoważniejsze szanse na nagrodę za najciekawszą książkę zażaleń w roku 1947!

Tysiące listów z pogroźkami!

016712

ZACZEŁO SIĘ

od meczów piłki nożnej Prasa—Artyści, Filmowcy—Radioci, Sędziowie—Bokserzy. Ostatnio doszło już do meczu Żonaci—Kawalerowie. Na najbliższą przyszłość przewiduje się m. inn. spotkania towarzyskie: Rudzi—Wdowcy, Piegowaci—Maminykowscy, Podrzućkowscy—Łysi, Mańkuci—Homoseksualści, Daltoniści—Szpakowscy, Konstypanci—Pyknicy, Hermafrodyty—Badacze Pisma Św., Właściciele za-

KAMIEŃ ZÓLCIOWY

choroby wątroby, skróty kiszek, blednicę, wypięki, wrzuty, bezsenność, neurastenię, mdłości, ostre ataki szalu skutecznie wywołuje „ORBIS”

Agencje we wszystkich miastach Polski

Stwierdzone liczne wypadki natychmiastowej apopleksji!

014716

KLIN KLINEM

Wojna poszarpała nerwy wielu ludziom. Ci ostatni w obecnym sezonie wyjazdowym i wczasowym widzieli szanse na poratowanie swych nadwątłych nerwów. W tym celu udali się do uzdrowisk naszych, aby tam znaleźć wreszcie spokój i ciszę.

Uzdrowiska nasze, na leczenie nerwów, zgodnie zastosowały metodę jedynego rodzaju. Metodę: klin klinem. Chciały uniknąć zdenerwowania! Urazono cię nieodzownym kontaktem z biurami „Orbisu”...

Przyjechałeś do Sopotu odpocząć przy cichym szumie morza? Urządzone ci trzydniowe wycieczki ulkowe motocykli bez tłumika. Warkot bombowców i detonacje pocisków okazały się niewinnym szmerem w zestawieniu z piekielnym wyciem kilkunastu tysięcy wycieczkowców...

Przeniosłeś się do Cieplic. Liczyłeś, że największą ciszę zapewni ci pobyt w miejscowym sanatorium.

Ale w tym sanatorium możesz spać jednym ciągiem najwyżej przez 14 minut. Tuż przy sanatorium bowiem znajduje się wieża kościelna, a na niej zegar, który potężnym dzwonem wybija kwadrans i godziny. Donośny ten dzwon mechaniczny, puszczonego w ruch przez skrupulatnych Niemców, nie zepsuł się dotąd i dyndoli nieublaganie całymi nocami, budząc cztery razy na godzinę najzawziętějších śpóchow, a co dopiero zniepokojonych rekonwalescentów...

Miejscowy ksiądz, sprawujący pieczę nad dzwonem, nieczuły jest na szkodliwe petycje chorych. Nie zgadza się na unieruchomienie dzwonu. Dyn-dolenie, to kwestia prestiżu miejscowego pasterza. Dyndoli! dzwoni za Niemców, niech i teraz dyndoli! Dyn-dolenie, to oznaka władzy nad owieczkami. Ze owieczki nie mogą spać? Niech się przyzwyczają! A zresztą — najlepsza metoda: Klin klinem!

Wypadków wyleczenia w bieżącym sezonie nie zanotowano.

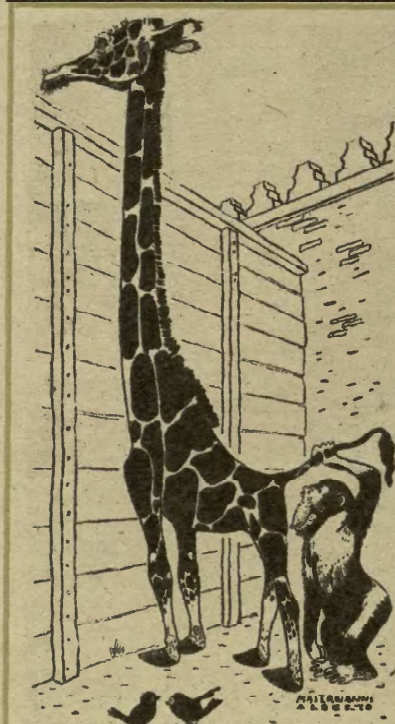
Ksiądz zaleca raczej Lourdes.

WOLĘ WYRABIA

daremne wyczekiwania w ogonku od piątej rano na bilet w wagonie sypialnym

Zgłoszenia: „ORBIS” Warszawa 018123

palniczek—tancerze św. Wita, Żuławscy—Biełkowscy, Kominiarze—Egzyścjalisci, Starobrzędowcy—Czarnogłodziarze, Szpice—Hycle, Błgamiści—Filatelsi itp.



— Służyła jako maskotka na łodzi podwodnej i nauczyła się używać peryskopu!

(„Travaso”)

MOTTO:

Z września, w pełni sezonu owocowego, cały świat obchodzi rocznicę Przewrotu Rajskiego, czyli zwaną przez Ewę deserową renetę lansberskiej z jabłoni Wiadomości Złego i Dobrego. W całym kraju odbędzie się w ramach „Dni Grzechu Pierworodnego” uroczyste obchody, akademie ku czci, oraz defilady mody jesiennej, której kilka pierwszych modeli poniżej reproduujemy.



376

6131



378

S-4802



6123

6119



S-4910

6129

— Nie mam się w co ubrać — rzekła Ewa, konsumując fatalne Witaminy Zakazane, poczym Adam sprawił jej pierwsze w dziejach ludzkości jesienne wdzianko. Oto (u góry) listek figowy, w który przystrofiła się mecenasowa Ryńska po wygnaniu z Raju, czyli po powrocie z robotniczych wczasów w Międzyzdrojach: suknia z ciemnej wełny i luźny żakiet, którego prawa część uszyta jest na lewą stronę

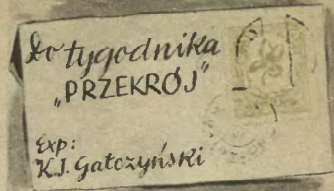
376. W jesieni suknie są coraz dłuższe a nogi coraz krótsze. Oto suknia do 1/3 tyłki z tuniką o modnej obecnie linii beczkowatej 6131. W jesieni suknie stadami odlatują z Paryża do innych krajów. Oto suknia paryska, która przybyła do nas w ostatnich dniach sierpnia 378. W jesieni opadają z sukien liście i kwiaty, pozostawiając ogołocone, jednolite tło. Oto suknia z ciemnej wełny z długimi rękawami S-4802. W jesieni dojrzewają podłotki i stają się przysmakami prozonych obiadów. Oto suknia wizytowa na pierwszy występ młodej panienki 6123. W jesieni wędna na sukniach bujne fałdy i marszczenia letnie. Oto suknia sportowa z grubszej wełny o nadzwyczaj prostym kroju 6119. W jesieni szumią ulewę też z pochmurnych kobiet, które nie mają nowej sukni. Oto idealna suknia na osuszenie tego żławego dżdżu S-4800. W jesieni serce kobiety słabo grzeje i wcale już nie opala. Wrażliwy na zimno małżonek ubiera je w ciepłą suknię z długimi rękawami 6129. W jesieni kobiety zółkną i wędną z zazdrości, na widok nowej sukni przyjaciółki. Oto suknia, która wpędzi do grubu całe grono znajomych

KONKURS DZIAŁU MODY

Nagrodę 1000 zł
otrzymuje w
bież. tygodniu

p. DANUTA
SMIAŁOWSKA
w Warszawie.

Suknia z jedwabiu w pasy, luźne
kieszenie w po-
staci baskinki



Szanowny Panie Redaktorze!
Niech Pan posłucha: „O Polkach i Polakach”

POLKA ROMANTYCZNA

Ten gatunek, Panie Redaktorze, spotykamy nad brzegami stawów, bądź jezior. Gatunek prawą ręką częściej rozwiany włos grzebień z celulojdu (w poezji: złoty grzebień), a lewą w międzyczasie gra na harfie. Zajęcie: tęsknota DO, lub zamyślenie NAD ojczyzną. Strój: szata powłóczysta, czyli rap-sodyczna, we wzbaumoszonych włosach oczywiście przepisowa, niestety, gwiazda. Imiona: Eloë, Ellenai, Maryla, Laura. Polki romantyczne obrabiali na swoich artystycznych tokarniach — i nie bez skutku — panowie: Norwid, Słowacki, Jacek Malczewski i Grottiger (Artur). Obrabiali, obrabiali, obrabiali, obrabiali, obrabiali, obrabiali cały czas.

POLKA REALISTYCZNA

Na ogół kelnerka. Ale któż, pytamy się, Panie Redaktorze, w epoce niby to narastającego reportażowego realizmu opisuje we wstrząsający sposób i w mrozący krew w żyłach sposób tragiczne życie kelnerki w piekle rozgrymaszonych inicjatorów prywatnych? Któż z naszych p. p. pisarzy obrabia kelnerkę? Któż jej wstęchnienia, któż jej tży policzy, nie mówiąc o dochodach?

POLKA SURREALISTYCZNA

Leży. Na koldrze nierozciąty tom eleganco niejasnych wierszy Delamerdre'a, pod koldrą natomiast duży wieprzowy kotlet. Pod poduszką otwarty duży słoik z musztardą. Jedno z powiedzeń: „W całym Paryżu nie można dostać takich szpilek do włosów, jakie obecnie produkujemy w Wąbrzyńsku”.

POLAK ZWANY PRZEZ KRAJOWYCH FAFULÓW I NIEDORAJDÓW POLAKIEM CYNICZYM

Pracowity, co już mu mają za złe. Nie upija się i nie kluczy. Mają za złe. To, co robi, robi dobrze i na termin. Mają za złe. Jest punktualny, a wszyscy spóźniają się, albo przychodzą o dwa dni za wcześnie. Więc mają za złe. Bierze byka za rogi. Też mają za złe. Jeśli jest np. poetą, to nie opisuje własnego pepka, tylko wyrwa prochniejące zeby społeczeństwu. Znowu mają za złe. A jeżeli tenże „cyniczny” Polak jest np. kupcem, to wszystkie umowy uważa za wiążące i myli się grubo, ponieważ produkujemy jeszcze mnóstwo ludzi, którzy z lekkością szewców-cudotwórców robią z geby cholewę. A my chcemy robić z geby instrument do wiążącego porozumienia się z ludźmi. Więc mają nam za złe, mają narzekać na złe, mają nam za złe. Przepraszam bardzo za kleksy, plamy od szmalcu z cebulką i nagły koniec. Świat mnie woła. Bogaty świat. Ciekawszy od „Listów z Fijolką”. Na moje podwórce weszła orkiestra podwórzowa i gra i śpiewa pod moim adresem:

HEJZE INO, FIJOŁECKU LEŚNY,
CEMU ZEŚ SIĘ NIE ROZWINAŁ
WCEŚNIEJ?

Więc kłaniam się, Panie Redaktorze, tym muzykantom i odpowiadam im śpiewem gregoriańskim:

BO NIE DOPUSZCZALI

P. S. A kaszki znowu nie otrzymałem.

Kochający

Karakuliambro



ZNACZKI DANII

Z okazji 100-lecia pierwszej kolei żelaznej w Danii wydano trzy pamiątkowe znaczki: 15 óre niebieskawozielony, z podobizną lokomotywy z 1847 r., 20 óre, różowy, z widokiem współczesnej pociągowej lokomotywy dalekobieżnej, oraz 40 óre ciemnoniebieski przedstawiający wagon motorowy z silnikami Diesla. Znaczki te wykonane sztychem noszą daty „1847—1947” pod nimi emblematy kolejowe a pod cyframi wartości emblemat pocztowy — trąbkę.

St. Mikstein

KOSMETYKI

KREMY
PUDRY
POMADKI
TUSZ

scala

LABORATORIUM KOSMETYCZNE * WARSZAWA

PROZNA 14

WOLNY MYŚLICIELU!

czy prenumerujesz już

»GŁOS WOLNYCH«?

nasze pióra

Henryk Wroński

M. Skalski, M. Drzewiński i inni.

Adm. Warszawa, Krasińskiego 18, m. 139.

August Beczowski

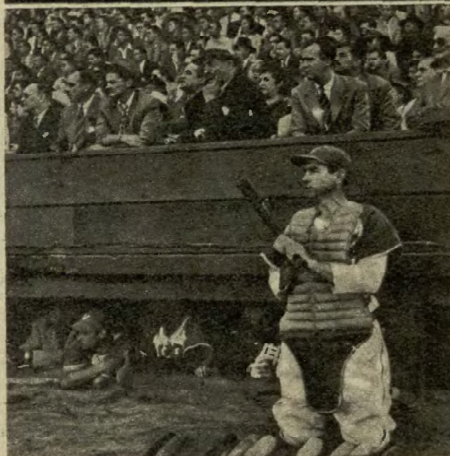


— Penie Augustcie, ile lat ma pański bratanek?
— W legitymacji ma 35, prokurator ocenia go na 10, a adwokat przypuszcza, że najwyżej 3...

ZIOŁA „CHOLEKINAZA”
H. Niemojewskiego

SPORT

Z Tatrzańskiego Raidu Motocyklowego: Punkty kontroli czasu w dolinie Morskiego Oka (po lewej) i Meta przed hotelem na Kalatówkach



(Fot. „Life”)

„Baseball” to rodzaj palanta, cieszący się w Ameryce niezwykłą popularnością. Na zdjęciu: popularny gracz Mickey Owon wybiera przed meczem odpowiedni „bat”. Pod trybuną: wypoczywający przed czekającymi ich trudami zawodnicy

JAK TO NAWAŻAĆ!

Powstały wątpliwości, czy nasza publiczność sportowa zachowuje się „drzyzwoicie” na imprezach sportowych, czy nie. Rzecz jasna — niczego nie sposób generalizować. Są dni i imprezy, w czasie których publiczność na stadionach zdaje egzamin najwyższej dzentelmenerii i zachowania fair, a są i inne, gdy cisną się słowa b. ostre. Czy wolno ich używać w takich np. wypadkach:

1. Mecz tenisowy Polska—Anglia. Publiczność oklaskuje w sposób nieprzystojny zepsute przez Anglików piłki. Każdy bywałec trybun kortowych wie, że jest to szczyt nieaktu, jeśli nie... Kłaniam się za piłki zdobyte w walce, za piłki rzeczywiście zdobyte, a nie przypadłe wskutek błędów przeciwnika.
2. Mecz bokserski w Krakowie. Jeden z widzów (notabene znany piłkarz) rzuca butelką na ring, niezadowolony z orzeczeń sędziego. Jak to nazwać?...
3. Mecz bokserski w Warszawie. Ktoś rzuca butelką w znakomitego pięściarza polskiego Szymurę, tylko dlatego, że Szymura przed chwilą znokautował najprawdopodobniej w świecie, jego faworyta. Jak to nazwać?...
4. Mecz piłkarski Warszawa—Łódź. Publiczność chce zrywać sędziego, za to, że osmilił się sprawiedliwie sędziować. Sędzia szuka ochrony u milicji. Jak to nazwać?...
5. Mecz piłkarski Sofia—PPN. Publiczność domaga się wypuszczenia na boisko jednego z obrońców warszawskich, tylko dlatego, że „On już ich przerobi...” to znaczy będzie bił, kopał, faulował, bo jest z tego znany. Zagrać bynajmniej lepiej nie zagra, gdyż nie potrafi... Jak to nazwać?...

I tak dalej i dalej i dalej...

(Tyr.)



ROWER

TURYSTYCZNY DLA
WSZYSTKICH

Zamówienia przyjmuje
i informacji udziela:
Biuro Sprzedaży Przemysłu Motoryzacyjnego

WARSZAWA
ul. WILLOWA Nr 13
tel. 83-107, 84-284

oraz wszystkie placówki
Zw. Gosp. Spółdz. R. P.
„S P O Ł E M”

stosuje się przy chorobach wątroby, kamieniach żółciowych, katarze żołądka i kiszek, uporczywych zaparciach, złej przemianie materii i artretyzmie. — Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych
LABOR. FIZJOL.-CHEM. „CHOLEKINAZA” WARSZAWA, MOKOTOWSKA 50



W KRAJU. W ramach Międzynarodowych Tenisowych Mistrzostw Polski Jadwiga Jędrzejowska wygrała finał gry pojedynczej, bijąc Czeszkę Miskova 6:1, 6:3. W finale gry mieszanej Jędrzejowska—Hebda pokonała parę Miskova—Skonecki 6:3, 6:1. W półfinałach gry pojedynczej Polacy Skonecki i Hebda ponieśli porażki. — Kolarski wyścig górski na trasie Kraków—Zakopane (110 km) wygrał Gabrych (Garbarnia) w czasie 3,31,50 godz., co jest nowym rekordem trasy. — Kraków. Wyniki rozegranych tu ostatnio wyścigów motocyklowych przedstawiają się następująco: Kat. do 130 ccm: 1 miejsce Hennek Herbert (Pogoń, Katowice na DKW) — 12,11; Kat. do 250 ccm: 1) Hennek Herbert — 22,76; Kat. do 350 ccm: 1) Jabłonowski Krzysztof (Wisła, Kraków na „Triumfie”) — 23,10; Kat. ponad 350 ccm: 1) Bębenek Władysław (RKS Garbarnia na BMW) — 22,43.



Wkrótce ukaże się:
W. SUPINSKIEGO

OD
WESTERPLATTE
DO
HIROSZIMY

Pierwsze polskie opracowanie
historii II wojny światowej
Wydawnictwo Zachodnie
Poznań

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAWCA: SPÓŁDZ.
WYD. „CZYTELNIK”

REDAKCJA: KRAKÓW, PILSUDSKIEGO 19a (GODZ. 12-14) TELEFON 559-54
RED. WARSZAWSKA: DASZYŃSKIEGO 14, POK. 217 (GODZ. 13-15) TEL. 879-36
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, WIELOPOLE 1. TELEFON 545-60, -61, -62

TIŁOCZONO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

FILM

ZOBACZYMY WKRÓTCE:



Ritę Hayworth — jedną z siedmiu najpopularniejszych gwiazd amerykańskich ujrzymy niebawem w wielkiej rewii filmowej pt. „Modelka“, której Rita zawdzięcza karierę. (Fot. „Columbia“)



Problem dostarczania broni i żywności dla Czerwonej Armii w czasie wojny jest tematem filmu „Konwój“ z Humphrey Bogart i Raymond Massey'an w rolach głównych (Fot. „M.P.E.A.“)

ŚWIETNY FILM

„Złote wrota“. Temat: tragedia ludzi bez ojczyzny, bez paszportu, uciekinierów, wygnańców, hochstaplerów, w ogóle „ludzi za burtą“. W maleńkiej, przegranicznej dziurze meksykańskiej miesiacami czekała, by Urząd Imigracyjny jakże okrutnego w tym wypadku „Wuja Sama“ raczył łaskawie uchylić „Złote wrota“. Uchyliła je wyłącznie dla obywateli USA. Stąd tragiczna pogoń za obywatelstwem. Zdobyć je za wszelką cenę!

Reżyser Mitchell Leisen wykreślił osiągnięcia francuskich filmów psychologicznych do koncepcji zdecydowanie realistycznej. Od rzucił francuski balast milczenia, mgieł, niepokojów, niedomówień — ale zastosował cały arsenał sytuacji psychologicznych. Dał wartki, nieoczekiwany w rozwiązaniach, tok wydarzeń dramatycznych z umiejętnym dozowaniem komizmu. Gra Charles Boyera i Olivii de Havilland osłabła kradkami zupełnie prostymi, efekty

znakomite. Film ogląda się jednym tchem jak romans kryminalny. Polskie napisy często nieczytelne (białe na białym tle). Koż.

NIERÓWNY

„Wilki Morskie“ z Flipem i Flapem mają równie wielkie wady, jak zalety. Oto one: Wady: 1) Film trwa zaledwie 53 minuty, dzięki czemu seans zapchany jest dodatkami. Przy czwartych z kolei „aktualnościach“ publiczność gwizdza. 2) Pierwsza część filmu jest tak luźno związana z drugą, że całość wygląda na zlepek z różnych filmów. 3) Druga część filmu znacznie słabsza. 4) Brak jakiegokolwiek pogłębienia czyni całą historię zupełną banalnością. Zalety: 1) Wysokiej klasy humor abstrakcyjny. 2) Bardzo pomysłowy scenariusz pierwszej części. 3) Doskonałe tempo, szybkie podprowadzenie do point. 4) Komizm aktorski niezawodnej pary Laurer-Hardy. Wniosek: Mimo niedociągnięć warto zobaczyć. Bracia Rojek



Ten starszy pan (trochę już z podbródkiem) — Maurice Chevalier — w stanie naturalnym, bez szminki — w chwili gdy gratuluje laureatce konkursu na najpiękniejsze dziewczę miasta Nantes (Fot. SAP)

Wiech

KRÓL KARTKI POGUBIŁ...

— O czym pani tak na całą parę czytasz w tem kurierze, pani Bigosińska kochana?

— O tem młodem facecie, którego zamiaruje z angielskiego króla córką na zapowiedzie dać i w karnawale się z nią ochajtnąć.

— Nie głupi chłopina, ale faktycznie co to panią obchodzi, angielska poddana pani jestes, czy jak?

— W dzisiejszym demokratycznym czasie każdemu o królach lubi sobie poczytać, ale czy ten facet taki znowu cwaniak to przypuszczam że wątpie.

— W jaki sposób?

— A w taki, pani Żołądek szanowna, że na całym świecie teraz mortus i królowie takżesamo muszą się ograniczać, a już o wiele się rozchodzi o tak zwane konferencje męską czy damską, to w takiej Angli, król nie król, głupich skarpetek bez kartek nie dostanie.

— Co pani mówisz?

— To co pani słyszysz. Olek szewca Moniuszewskiego syn, w zeszłym tygodniu stamtąd wrócił i króla widział, tak jak pani mnie teraz, w ogniku po cukier! Właśnie czytam tu, że ta owa królowna żadnej wyprawy nie otrzyma. Tylko jedne sukienki i to zdaje się przerobią z mamusi.

— Ale dlaczego? Przecież nie dawno dawali nawet u nas płótno i te insze trekstyli!

Nie wiadomo, może król kartki pogubił. Bo to król, nie król wszystkie chłopcy jednako. Wsadzi do kieszeni kartki i nosi, aż podraż i zgubi.

— Albo może w mu w mydlarni wycieli, osiemnasty numer, przez pomyłkę. Bez osiemnastki — święty Boże nie pomoże, nie dadzą.

— Za często się mylą. Znamy takich przytomniaków. Przyjdzie sobie ta to się z nią liczą, bo wiedzą, że się nie da wykantować, ale trafi się jem mężczyzna, a Bron Boże wstawiony, robią go na żywca. A jeszcze taki król — załatany jak wielkie nieszczęście — tu córkie za mąż wydaje, tu minister znowu chce od pierwszego odejść, murzyni mu się buntują — głowę ma jak karmelickie banie, gdzie może kuponów jak się należy dopilnować?! Wycieli mu w mydlarni jak amen w pacierzu!

— W każdym bądź razie narażać panienki, żeby rodzina narzeczonego już przed ślubem ją obszczekiwała, że w jednej sukieneczynie za mąż idzie, się nie powinno. I zgubił król kartki, czy nie zgubił, wycieli mu kupon czy nie wycieli, te pare metry płótna na dwa, trzy prześcieradła, czy cztery podpięcia i powłóczki ma prawo dostać.

— Ale gadaj, pani Żołądek, z Anglikami, oni tylko Niemcom cholera wszystko by oddali!! Ostatnią koszulę ze siebie by zdjęli, żeby się nie na jeża strzyżonem szkopom przy podchlił.

— Ale, dlaczego, moja pani Bigosińska zło, tak się w nich rozkochali?

— Zabij mnie pani, nie wiem. Paczki jem podobnie wysyłają, co mogą dranim podtykają, a królowna po kątach płacze, bo się boi żeby się narzeczone nie namyślił i nie powiedział, że nie będzie się żenił w tych warunkach.

— O to strachu nie ma. Nie namyślił się. Dla samego mieszkania się zgodzi. Król ma

podobnie trzy pokoje z kuchnią, nie zagieszczone, w prencypalnym ponckie, to młodemu jeden odstąpi. Inaczej ten młodzik by się tam nie dostał. Chyba że na siłę przez kwaterek mogłoby mu się udać, bo to podobnie oficer.

— Nawet jakby dostał to najwyższej przechodni pokój. A to znowuż żadną przyjemność, żeby mu starsza królowa drzwi nad głową trzaskała, jakby sobie chciał troszkie dłużej pospać.

— Rzeczywiście. A tak w charakterze zięcia, większy już będzie miał głos w domu. A w swoim czasie i za króla się zostanie.

— Nie wierz pani w to. Olek Mioduszeszczak mówi, że o wiele nawet ożeni się z królową, ona będzie rządziła, a on przy niej dudy w miech. Za trzonem tylko będzie stał i głową na wszystko kiwał. Taka podobnie w Anglii moda. Jego nikt nie słucha, śledzia mu nie skredytują, jak nie ma kartki od żony.

— No owszem nie można powiedzieć niele to jest rządzone. Jak się takiej królowej mąż tronkowy trafi, nie potrzebuje sama z wakiem od ciasta po barach go szukać, zatelefonuje tylko do komisariatu, a milicja w try miga do domu go dostawi.

— Faktycznie moja pani, ale znowuż z drugiej strony ile się taka kobitina sama, jak ten Samson, musi ze wszystkim nauzerać. Ministrowi swoje, Hurchil swoje pyskuje i każdemu pretensje wnosi, a pani siedź na tronie i rządz!

Nie chciałabym pięciu minut być na jej miejscu, nie chciałabym. A najgorsze to te Indiani.

— Jakie Indiani?

— Są tam takie blade Murzyni, na Cyganów podobne. W ręcznikach chodzą. Jednego starszego mają w okularach i z kożą. Temu jak się pani mało wiele sprzeciwi, zaraz się w mieszkaniu zamyka i jeść nie chce. Goły siedzi, dywaniki na drutach robi i oświadcza, że głodową śmiercią ma życzenie umrzeć.

Wtenczas angielskie gienierałowie przychodzą do niego, zimne i gorące dania przynoszą i ze łzami w oczach proszą:

— Panie Indian, wrab pan coś, nie bądź pan taki wredny! A on nie i nie. Czasem po miesiącu bez spożycia się obywat. Przewili się Anglii i dziwili aż razu jednego przez dziurki od klucza go podkapowali, że on po cichu koze do i mleko na zsiadzie, pod łóżko sobie odstawia. Od tej pory przestali się niem przejmować i dali mu spokój.

I to ta królowna ma sobie z tem wszystkim radzić?

— Musi.

— I z kożą?

— I z kożą cholera.

— Bywszy na jej miejscu... a pan tu czego uważa?

Ostatnie zdanie zwrócone było do niżej podpisanego. Wypowiedziane zostało tonem tak groźnym, że wycofałem się śpiesznie i niestety nie udało mi się usłyszeć jaką radę na matrymonialne i imperialne kłopoty Anglii znalazła pani Bigosińska, przedstawicielka sektora prywatnego polskiego handlu, na bazarze Różyckiego.

Niech Anglia żałuje.

W I E C H

ZEBY CZYŚCI NAJLEPIEJ

Pasta

DENS

WARSZAWSKIEGO LABORATORIUM CHEMICZNEGO Sp. Akc.

Jednakowo dobre

OD ROKU 1910

BUDYNIE PRZYPRAWY do CIAST ZUPY-BULION

STROJWAS



— No, ten to chociaż do czegoś podobny.



STOLECZNE SZMERY

W jednym z wydziałów Ministerstwa Spraw Zagranicznych uroczą sekretarka jednego z dygnitarzy pożywia się kromką ciemnego, kartkowego chleba, cieniutko posmarowanego masłem.

— Czemuż tak ubogo, proszę pani? — pytam.

— A tak... Białe bułeczki będą jadła... A potem przyjdą Amerykanie i zrobią raport, że w Polsce jest zubożenie pod dostatkiem...

Tyr.

W SZMERZY WROCŁAWIA

Panoramę Racławicką miano umieścić w Hali Ludowej. Sprzeciwili się jednak temu bokserzy wrocławscy nie chcąc stracić ringu dla swoich meczów... Na Halę Ludową reflektuje też Film Polski, by urządzić tam polskie Hollywood. W Hali Ludowej miała również odbyć się wystawa obrazów Styki i Kossaka. A więc ponieważ jest tytuł kandydatów na lokatorów Hali, więc może i lepiej, że ta największa i najpiękniejsza sala w Polsce nie będzie bez szyb i przećwieka, a Panorama... Panorama może jeszcze pociękać w skrzyni. Szeki.



SZMERY WYBRZEŻA

W ramach Targów Gdańskich spółdzielnia wydawnicza „Prasa” zorganizowała tak zwany „kiosk uczciwości” — reprodukcji w 124 numerze „Przekroju”. W kiosku tym klienci sami wybierają sobie gazety i sami uiszczają należność. Gazety idą świetnie. Natomiast uiszczanie należności jest okrutnie głębokim milczeniem organizatorów, którzy niczym zbywają wszelkie pytania o wynik tego eksperymentu... MB.

FRASZKA MAKABRYCZNA

Pewien góral nieszczeniwy — Zegnaj, miły druhu! — Padł w okropnej katastrofie Ofiarą wybuchu.

— Stracił biedak nogi, głowę — Wdowa się użala — Strasznie mało — ach! — wydali Mi reszty z górala!

Bogdan Brzeziński



— Więc pani twierdzi, że na kogokolwiek pani spojrzy, widzi pani królika. Jak mam to rozumieć?

ROZMAITOŚCI TAKSÓWKI

Należy do dobrego tonu w Polsce wyrękać na cwaniołach Warszawiaków, wyzyskujących jakoby swój spryt głównie dla nabijania swolich bliźnich w „butelkę”. Tymczasem na odzinku taksówek Warszawa na głowę pobija wszystkie inne miasta Polski. Spryt warszawski okazał się rzeczywiście niebywały — gdyż potrafił zwyciężyć szoferów, co jeszcze jak wiadomo nigdy nikomu się od początku świata nie udało.

Oto co się stało w Stolicy. Szoferzy warszawscy uruchomili kilkadziesiąt taksówek. Do tych taksówek przyczepili liczniki — czynne i dobrze działające. Uruchamiają je z początkiem jazdy, słuchając ludzi z całej Polski! — pod hajtem! — pobierając za przejazd opłatę co do grosza równą tej, jaka wykazana została przez licznik. W efekcie ceny za przejazd samochodami są zupełnie godziwe. Z Mokotowa do śródmieścia dostać się można za 140 złotych. Jednym słowem okazało się, że jednak uczciwość w Polsce mo-

żna odbudować, jeśli się tylko chce.

Sprawa warszawskich taksówek nabiera specyficznej wymowy na tle ogólnokrajowym. Nigdzie poza Warszawą taksówki nie mają liczników i pasażerowie zaleźni są od szofera, „widzi-mi-się”. Na domiar złego owe „widzi-mi-się” jest zupełnie fantastyczne. Za przejazd z Krakowa do Zakopanego PKS pobiera 580 zł, a za przejazd z Rynku Krakowskiego do redakcji „Przekroju” (1 km) szoferzy krakowskich taksówek zadają 300 złotych. I tak jest w całej Polsce. Poza Warszawą.

Akcja stołecznych szoferów ma już na terenie Warszawy jeden rezultat bardzo zasadniczy: do poziomu cen taksówek spadły też ceny „wolnorynkowe”, w dygnitarskich autach w czasie gdy ich dostojni dysponenti urzędują lub konferują.

A może by teraz przykład i doping warszawskich taksówek obudził z letargu rajców

miejskich w innych miastach R. P., którzy poszedłszy po rozum do głowy próbowali by i u siebie rozwiązać trudny problem cen za przejazdy autami. Trudny, gdyż — jak sądzimy! — brak jest liczników.

A może by tak nasi czytelnicy pomogli magistratowi i spróbowali nadesłać nam swoje pomysły: jak bez liczników można rozwiązać problem rzetelnych i sprawliwych opłat za przejazdy taksówkowe?

Kto wie czy dobre odpowiedzi nie zostałyby przez nas nagrodzone?

Warszawa jeszcze raz pokazała, że na wszystko ją stać!

P. S. — W Krakowie wymyślono coś ście nadzwyczajnego! W całym mieście są tylko 3 (słownie: trzy!) postoje dla taksówek, przez co cała istota tej „galezi komunikacji” staje się fikcją. Podobno dlatego, żeby nie konkutowali z magistrackimi tramwajami. Bravo! miejskie Rajce!

KO.



MISTRZ

Przed niedawnym czasem Solski jechał autem z Katowic do Krakowa. Auto stanęło w drodze, zepsuło. Mistrz spiesząc się bardzo, zatrzymał kilka przejeżdżających wozów. Ponieważ jednak szoferzy chcieli bardzo drogo, bo aż 200 zł — zdecydował się w końcu na tańszy środek lokocji: 84-letni młodzieniec za 50 zł przyjechał do Krakowa na tylnym siedzeniu jakiegoś motocykla. Kydr.

SOJUSZNICY

Ilustrowany Kurier Polski podaje w niedzielę 27 lipca, że: „Do Polski przybyło 11 spośród 40 autobusów zamówionych przez Polskę dla Miejskich Zakładów Komunikacyjnych we Francji”.

Do Francji natomiast przybyło 11 spośród 40 korespondentów zaangażowanych przez Francję dla IKP w Polsce. Wzajemnie sztykujący się sojusznicy polsko-francuskiej wymaga takiej wzajemnej wymiany usług. Tylko, że autobusy są pierwszorzędne, a wysłani do Siostrzycy dziennikarze są czwartorzędni. (nadesłał „LW”)

SKRÓTY

O. N. Z.
P. P. S.
D. O. K.
S. O. S.

C. D. H.
P. C. K.
P. P. R.
P. C. H.

Z. Z. Z.
K. B. W.
B. G. K.
R. K. U.

W. S. H.
C. T. B.
U. S. A.
P. K. P.

M. S. Z.
K. K. O.
N. B. P.
P. K. O.

Proste. Co?
Łatwe. Nie?
Pan rozumie?
Bo ja nie!

KAROL SZPAŁSKI

SABOTAŻ

„Głos Pomorza” w numerze z 12 sierpnia br. donosi z Grudziądza, o sensacyjnym wydarzeniu:

W Urzędzie Stanu Cywilnego w czasie od 6—10 sierpnia zanotowano:

Urodzenia: bluralista Mieczysław Humiński córke; cieleś Bernard Chyliński syna; urzędnik Zygmunt Bigoszewski, syna; urzędnik Alfred Zembruski, córke; urzędnik Witold Zieliński, córke; metalowiec Leon Oszałdowski, córke; robotnik Władysław Wiczeorek, syna; urzędnik Alojzy Sielski, córke; kupiec Alojzy Nowakowski, syna; urzędnik państwowy Daniel Kujawski, córke; 1 urodzenie nieśl. płci żeńskiej.

W Ameryce 1 milion dolarów ufundowany przez Rockefellera czeka dla mężczyzny, który urodzi dziecko. Zarząd miasta Grudziądza winien uzyskanie w ten sposób 10 milionów dolarów użyć na budowę więzień celem ukarania żon uprawiających sabotaż.

GASTRONOMICZNE NOTATKI

Na Złemiach Odzyskanych panuje istna wieża Babel, jeśli chodzi o nazwy miejscowości, co sprawia, że bardziej przeczorni używają dla pewności jeszcze starych nazw niemieckich. Jak tu jednak mówić o nazwach miejscowości, jeśli do tej pory nie nastąpiła zgoda w jeszcze ważniejszej dziedzinie — nazw gastronomicznych, a jest to jak dobrze wiemy, podstawa społecznego współżycia. Z mego notatnika podróznego przytaczam kilka ciekawych wypadków:

W Głizyku, w bardzo reklamowanej restauracji na centralnym Placu Grunwaldkim, gdy zażądałem omlotu z trzech jaj, podano mi jajecznicę... W Wąbrzychu natomiast, gdy poprosiłem o naleśniki z konfiturami, podano mi omlot z owocami. W Małborgu w restauracji Jedyne go tamtejszego hotelu, gdy zamówiłem omlot — wpiętr musiałem czekać równą godzinę, a następnie kelnerka przyszyła zapytać, co to jest wieświecie omlot i jak się to robi? Ponieważ również nie znalazłem przepisu, musiałem zjeść bułkę z szynką. W Legnicy, gdy poprosiłem na śniadanie o dwa jajka w szklance dostałem... surówkę! W Opolu, gdy z karty wybrałem „chłodnik litewski” przyniesiono mi „zwyčajną zimną zupę owocową z grzanekami i keiner był oburzony, gdy mu zwracał uwagę, że to nie to samo. W Wrocławiu, w dużej restauracji nieopodal dworca — kotlet de Volaille okazał się zwykłym szczielcem owiniętym niezgrabnie dookoła jakiegoś kości. W Olsztynie na prośbę o befsztyk angielski dostaliśmy kotlet siekany i podająca Dulcinea była bardzo zdziwiona, gdy zaproponowałem...

Panowie z Wysockiej Komisji Nazwownictwa na Złemiach Odzyskanych — pomyślcie o menu w restauracjach. Koż.

Z ostatniej chwili: (gołąbkami pocztowym z powodu braku telefonu)

Min. Poczty i Telegrafów Józef Putek ujawnił, iż w pierwszym półroczu r. b. wybudowano 9.600 km międzymiastowych przewodów telegraficznych, 32.000 km żył kablowych. Zainstalowano i uruchomiono centrale telegraficzne na 21.400 numerów. Uruchomiono bezpośrednie połączenia telefoniczne Warszawy ze Sztokholmem, Kopenhagą, Londynem, Paryżem, Brukselą, Amsterdamem, Pragą, Czechą, oraz Krakowem z Brnem. Posiadamy 20 bezpośrednich połączeń telefonicznych z zagranicą, 7 telegraficznych i 17 radiowych. Stan abonentów wynosi 127.000 wobec 225.000 w roku 1938.

Brawo! naprawdę brawo! Tylko — Panie Ministrze! — kiedyż Dyrekcja Telefonów uwzględni podanie naszego redaktora warszawskiego o telefon, by mógł z redakcją krakowską porozumieć się szybko i stałe! Czekamy już z lata!



ma zaszczyt przedstawić

„MYSIKROLIKA”

Jest to siódma postać NAJMNIJSZEGO TEATRU ŚWIATA, czyli najmniejszego teatru w najmniejszym teatrze Polski. Kontrakt z Mysikrolikiem podpisaliśmy w Krynicy, na razie wyłącznie na piosenki.

Oto pierwsza piosenka Mysikrolika w dwie minuty po podpisaniu kontraktu, ułożona przez wdzięczność i współczucie dla Autora:

„SERCE POETY”

Wszczęświatowy przebój

TEATRU ZIELONA GŁĘ

w wykonaniu słynnego

MYSIKROLIKA

(Wszystkie prawa zastrzeżone! Copyright by „Przekrój” 1947)

UWAGA! KOBIECY UBRA

NE DO POŁOWY PŁACA

POŁOWE!

Mysikrolik!

(śpiewa sentymentalnie na

melodii tangi „Gdzie two-

je serce i gdzie miłość jest

twoja...”)

Serce poety

ono pisze jak Mok. *)

ale niestety

czasem pisze ad hoc.

Zycie przemija,

od pisania boli szyja.

Serce poety

jest jak stary szlafrok.

(szmerek, oszołomienie, w-

łać brawko)

Kurtyna

K. I. Gałczyński

*) Mok. — skrót od na-

zwiska Moknandotrybo-

wicza, niesłychanie pódne-

go pisarza XVIII w. UW.

AUT.



— Czy długo czekasz kochanie?

BRITYJSKA POTĘGA

„Dziennik Zachodni” w związku z powstaniem Pakistanu i Hindustanu donosi w dn. 16 sierpnia br.:

„Z wielu krajów nadeszły depesze gratulacyjne... Podobne nadeszły ze strony rządów Stanów Zjednoczonych, Francji, Chin i innych dominów brytyjskich”.

Dobrze im tak. Po co USA pcha się ze swoją polityką do Europy. Oto skutki, iż p. Marshall zapominał przysłowa: „Nie wtykał palca gdzie ci nie miło, nie rób Europie między drzwmi”.

(nadesłał M. Lucerska)